

HENRYK KOROTYŃSKI

Przypomnienia, porównania

Gdy redaktor „Nowej Kultury” zadzwonił do mnie z propozycją, bym napisał artykuł — polityczny artykuł wiążący się z pierwszym 10-leciem Polski Ludowej — przeglądałem właśnie wielką i bogatą księgę: „Sztafetę” Melchiora Wańkowicza. Wydano ją okazałe w r. 1939 na 20-lecie Polski przedwojennej, zaopatrującą subtylem: Książka o polskim pochodzie gospodarczym — i ozdabiając kilkuset ilustracjami.

Z przeglądania tej księgi wynikały marginesowe uwagi, które może zainteresują Czytelników „Nowej Kultury” właśnie w dniu 22 lipca 1955, kiedy kończymy pierwsze dziesięciolecie naszego ludowego państwa i wkraczamy w drugie.

Wańkowicz był w pilsudczykowski obozie jednym z pierwszych piór publicystycznych i reportażyści dużego formatu. Umiał pisać z rozmachem, efektywnie, dramatycznie, mocarstwowo i optymistycznie. Był bez wątpienia pisarzem reprezentatywnym dla rządzących sfer sanacyjnych, a może i szerszej; dla ziemianko - burżuazyjnego sposobu myślenia i pragnienia. Zdają się świadczyć o tym m. in. entuzjastyczne pochwały, którymi prasa przedwojenna obdarzała reportaże Wańkowicza, a których to pochwał nie omieszkał autor zamieścić na końcu swojej księgi.

Cóż można znaleźć przerywając karty „Sztafety”?

Jest początek roku 1939. Już jesteśmy po Monachium, zagrabieniu sporej części Czechosłowacji przez Hitlera z wydatną pomocą - francusko - sanacyjną pomocą. Wkrótce przyjdą pierwsze hitlerowskie żądania terytorialne wobec Polski, potem — Wrzesień.

A w książce Wańkowicza — entuzjazm, optymizm i krzepa. „Rok 1938 zastał Polskę przygotowaną...” — pisze. W drugim dziesięcioleciu osiągnęliśmy to, że o „korytarzu pomorskim” nie ma mowy, że mamy silną armię, że narastająca prężność narodu wybija już jedną ślepa granicę — litewską, odzyskała Zaozłzie. W końcu wrzesień tego drugiego dziesięciolecia, u progu dziesięciolecia trzeciego — realizujemy wielkie dzieło obronności i uprzemysłowienia — COP^{*)}.

O tym COP-ie pisze Wańkowicz w najwyższym „C”, jakby to było co najmniej zamierzenie równe temu Magnitogorska i Nowej Hut.^{*)} Wykwa w tymże duchu slogan: „Kto ma COP w rodzie, tego bieda nie dobodzie”.

Ale po tym trzeźwieje, powiada, że to jednak nie wystarczy na polską biedę. „Przecież trzecia część nas, bo 10 milionów, wegetuje na gospodarstwach karłowatych... Cóż można zrobić z takim obywatelom? Nie stać go na naukę, fachu, nie stać na podniesienie wydajności ochłapkowego gospodarstwa, nie stać na odżywienie, na oświatę. Karleje fizyczne, ugoruje moralnie. Trzecia część narodu, która gnije w życiu nie będącym życiem”.

Boleje Wańkowicz nad tym, że o ile dawniej emigrowali z Polski na obczyźnie setki tysięcy obywateli rocznie, to teraz granice dla emigracji pozamykane. Tej pięknej możliwości już nie ma. „Gdzie więc pójdą niezatrudnieni ludzie z Polski, co zrobą?”

I Wańkowicz śladem — min. Becka — znajduje rozwiązanie: kolonia dla Polski.

„Są narody nasycone (kolonialne) i narody głodne (bez kolonii) — pisze. — Do tych ostatnich należą Niemcy, Włochy i Japonia. Przyłączamy się do nich i zdobywamy kolonie, albowiem „teraz fala gniewu narodów głodnych przeciw narodom nasyconym znowu się wzniósł”. Czy objadzie się bez wojny? No, chyba nie”.

„Rozumiemy, że to jest ciężkie zadanie, ale też rozumiemy, że to jest konieczność dziejowa, bez której nie ma rozwoju Polski. Rozumiemy, że nikt nam darmo nie da tych kolonii, że jesteśmy biednym społeczeństwem, że inne narody również darmo nie otrzymały swoich kolonii, że np. Anglia toczyła o nie w przeciągu 120 lat (1688—1815) — 64 lata wojny, że w ciągu ostatnich stu lat wysłała za morza 20 milionów ludzi.

Ale właśnie ludzi my mamy, jest to wielki nasz skarb, a jak dotychczas — wielkie nasze nieszczęście!”

A więc razem z państwami „głodnymi”, przede wszystkim z hitlerowskim Niemcami na wyprawę kolonialną do Afryki, na Murzynów i ich nasyconych panów. Piękna

mapka Afryki i rysunki produktów kolonialnych mają do tego zachęcać.

I to wszystko pisane i wydrukowane w r. 1939! Na kilka miesięcy przed wyprawą kolonialną Hitlera... do Polski.

Nie trudno byłoby naigrawać się bezlitośnie z autora, patrząc na jego książkę z perspektywy roku 1955. Nie po to pisał ten artykuł. Chcę dać wyraz myśli, nie nowej zresztą, ale zawsze wartej przypomnienia: że koniecznością historyczną dla Polski stało się rewolucyjne odebranie władzy burżuazji i przejęcie losów narodu przez klasę robotniczą i jej partię. Burżuazja polska dowiodła bowiem w ciągu międzywojennego 20-lecia swojej zupełnej niezdolności do myślenia politycznego na jakim takim choćby poziomie. Dowiodła, że nie była w stanie ani trochę wydobyć kraju ze 150-letniego zacumowania, że nie potrafiła zabezpieczyć mu niepodległości. 20-letnia polityka burżuazji prowadziła prostą drogą ku jeszcze głębszej słabości gospodarczej Polski, ku jej bezbronności i zupełnemu osamotnieniu, gdy we wrześniu 1939 r. stanęliśmy oko w oko z niemieckim militarizmem.

W książce Wańkowicza (a jest ona jednym z wielu, ale szczególnie wymownym świadectwem bezdroży burżuazyjnej polityki w Polsce) — cały niemal stustronicowy rozdział poświęcony jest wielkiemu zwycięstwu: zagrabieniu Zaozłzia dzięki jednorocznej hitlerowskiej łasce. Tytuł tego rozdziału triumfalny: „Fanfara Zaozłziańska”, a mocarstwowo patos Wańkowicza tu właśnie sięga szczytów. W związku z przybyciem czechosłowackiego generała Hrabka do kwatery generała Bortnowskiego w sprawie sposobu przejmowania Zaozłzia autor „Sztafety” pisze:

„Taki musiał być nastrój w ów jesienny dzień w łasku w Rethondes, kiedy ku salonce Focha szli parlamentariusze niemieccy. W takie dni, w ich ciszy, lepiej niż w czasie bankietów słychać w głębości dziejów, w ich koście — cichy trzask. Jakis zrost pęka niepowrotnie”.

Tak, w wyniku takiej polityki pękła nam Polska, a nie jest już winą Wańkowiczów, że nie stało się to niepowrotnie. Zerwaliśmy natomiast niepowrotnie z polityką małego i śmiesznego imperializmu, który czepiał się klamki pańskiej —

najpierw francuskiej, potem hitlerowskiej, wreszcie angielskiej — w nadziei, że coś ze stołu wielkich rekinów dla nas spadnie. Spadł wrzesień 1939 r.

*

Po pierwszym 10-leciu Polski Ludowej widąc wyniki nowej polityki zagranicznej naszego państwa.

Militaryzm niemiecki nie zniknął wprawdzie — dzięki Ameryce — jako potencjalna groźba, nie możemy z całą pewnością powiedzieć, że uda się zapobiec jego odrodzeniu. Ale pewnością jest, że zdołaliśmy całkowicie zmienić sytuację naszego kraju wobec tego czy innego zagrożenia niepodległości. Właśnie w jubileuszowym roku pierwszego 10-lecia, w roku 1955, zawarty został w Warszawie układ, który sprawia, że straża naszych granic jest silna, o jakiej przed rokiem 1939 trudno byłoby nawet marzyć. Związek Radziecki, Chiny Ludowe, Polska, Czechosłowacja, Niemiecka Republika Demokratyczna i inne kraje ludowodemokratyczne — to wspólna gwarancja bezpieczeństwa tych państw, także naszego państwa, także naszej granicy Odra—Nysa—Baltyk.

Układ warszawski, przeciw nikomu nie wymierzony, a dla wszystkich otwarty, mający charakter wyłącznie obronny, przekreśla raz i na zawsze możliwość atakowania przez agresora kolejno pojedynczych krajów, jak to mogły czynić Niemcy hitlerowskie przed i po rozpoczęciu II wojny światowej.

Nie na człapaniu przy boku wielkich grabieżców polega polityka naszego państwa, lecz na współpracy i wspólnocie żywotnych interesów krajów socjalistycznych, które własnymi siłami i wzajemną pomocą zabezpieczają teraźniejszość i budują sobie przyszłość. Pamięamy o długim doświadczeniu historycznym, które Alfred Lampe streścił tymi słowami: „Grabarze demokracji w Europie byli grabarzami niepodległości państwowej Polski. Bojownicy demokracji europejskiej byli sprzymierzeńcami i towarzyszymi broni niepodległościowców polskich”.

Oto właśnie różnica w kierunku i wynikach między zagraniczną polityką burżuazji polskiej a zagraniczną polityką polskiej demokracji.

*

Czy Polska w ciągu 10 lat władzy ludowej zrobiła dużo, bardzo dużo

czy mało w dziedzinie gospodarki narodowej — można zobaczyć tylko pod tym warunkiem, że się pamięta o początku, o starcie. Bez tej miary nie podobna mówić o obiektywnej ocenie. Bez tej miary można się nawet niecierpliwie, że u nas poziom życia jest jeszcze nie taki jak we Francji, Niemczech czy Czechosłowacji i że w USA jest tyle samochodów, nylonów i butów, a u nas nie. Gdy się natomiast miałę startu zastосуje, widać, że skok jest niebywały i zmiana zasadnicza.

Jak więc było z tym startem?

Znany przed wojną burżuazyjny ekonomista prof. Stanisław Grabski pisał w książce „Ku lepszej Polsce” (W-wa, 1930) z dużą otwartością: „Węć spojrzmyś odwrotnie prawdziwie w oczy...Prześcignęły nas Bułgaria, Litwa, Jugosławia, Rumunia nad którymi jeszcze w 1925 r. górowaliśmy pod niejednym względem... mamy najmniejszy z całej Europy obrót handlu zagranicznego na głowę ludności, najniższy wskaźnik produkcji przemysłowej, najniższy dochód netto z hektara, najniższy udój krowy...”

Spadek po dwudziestolecie był więc taki, a doszły jeszcze następstwa wojny i okupacja. Powrót ziem zachodnich poprawił nasz start ale summa summarum zaczęliśmy w warunkach nie do porównania gorszych niż bodajże wszystkie inne kraje Europy.

A po 10 latach — Polska na piątym miejscu wśród najbardziej uprzemysłowionych państw naszego kontynentu.

Ten skok z szarego końca ku przodowi — czyli industrializacji a c j a Polski — to jest obok wyników naszej polityki zagranicznej największe dzieło pierwszego dziesięciolecia. Ze trudne dzieło — ktoś nie wie z własnego doświadczenia? Ze konieczne i niezbędne dla życia — ktoś nie rozumie choćby z nauki przeszłości? Ze jest to dzieło wielkie — mówią dość wymownie choćby te przypomnienia z Wańkowicza czy Grabskiego.

Można by snuć podobne przypomnienia i porównania jeszcze długo. Ale już ta niewielka i przypadkowa porcja daje pewien materiał do rozmyślań o przebytej w ciągu 10 lat drodze.

Henryk Korotyński

WANDA GRODZIŃSKA

OSTATNI SEN PAWŁA FINDERA

Przez kraty mego okna widzę skrawek nieba: Jest dzisiaj szafirowe jak bławatki w życie. Zapachniało mi lato w czarnej kromce chleba I do celi więziennej znowu wtargnęło życie.

Gdy mnie więzili na Szucha, spod ciemnej zasłony Ujrzałem klon w zaulku, świetlicie zielony — Ten klon zasłonił wszystko: I lochy Gestapo I narzędzia ich tortur. Nie czułem kaluszy. Głupcy! Mogli ujarzmić ciało w swoich łapach, Lecz nie zdołali złamać niepodległej duszy...

Dzisiaj leżę spokojnie w nieruchomej ciszy Mojej celi i uchem łowią szmery w ścianie. To puka któryś z więźniów, moich towarzyszy. O, jak dobrze usłyszeć przyjazne pukanie! Pamiętam ich tak wiele. W więzieniach Rawicza, Na Pawiaku w Warszawie... A każde jest inne, Gdy się wsluchasz: to mięskie, to jakby dzieciinne, To dźwięczy natarczywie, to znowu nieśmiało, Jak gdyby ręka ślepa, który chce z oblicza Dotykami poznać rysy I ja tak słuchałem Odgłosów muru, jakbym pragnął ujrzeć twarz...

Naraz umilkły szmery Ktoś szedł korytarzem. Szczególny zamek. To strażnik przyniósł miskę stawy. W jego wzroku nieczułym nagle się pojawił Ludzki wyraz. Powoił, już stojąc za progiem, Powiedział: „Dziś stąd wyjdiesz. Najedź się na drogę”.

Odór jadła niósł z sobą odległe wspomnienia, Jakieś wonie chemiczne, niemile a bliskie. Tak, wiem: laboratorium, Paryż, doświadczenia... I Jellot, który wielkim potwirdziłem nazwiskiem Wiare ucznia w zwycięstwo prawdziwej idei... Dziś już nie przysiesz dla mnie książki, profesorze! Ale choć nas rozdziela barbarzyństwo morze, Ja ciągle mam nadzieję, zhywszy już nadziei. Chociaż nigdy nie wrócę w cudowny świat chemii, Wierzę, że przyjdą inni, przyjdzie legion dzielnych, Aby wbrew barbarzyńcom popchnąć bryłę ziemi W nowe życie, w ludzkości postępek niesmiertelny.

Lecz co to mówił strażnik? „Dziś wyjdiesz” I dokąd? „Wyjdiesz dzisiaj” — dwa proste, obcojęzyczne słowa, Ale czy zdradziły więcej niżli mowa: Z tej celi więźniów tylko na stracenie wloką! Więc to już dziś? Niedarmo niebo zbłękniało, Jak oczy mojej miłej.

„Bądź spokojna o mnie!

Wszystko dobrze się skończy... Lecz gdyby się stało To najgorsze... to pomyśl: piękniejszego końca Nie można wyobrazić sobie...”

Nikły promień

Zajrzał do mojej celi — odbity cień słońca. I naraz zieleni wpadła przez kratę okienną, Jakby mur cały ożył i liściem zakwitła... Jeszcze raz klon ujrzałem pod powieką senną. — Klonie, klonie zielony, żegnasz mnie czy witasz?

W POLSCE

(Dokończenie ze str. 1)

mniej się powiodło w stylizowanym oberku — zadna przy nowej ewolucji nie chciała być „tą pierwszą”, dreptały więc rozpaczliwie, każda w innym kacie, struflując się obuzonymi minami i czekając na nawrót stroki; jakiś chłopiec ze śrudka sali westchnął bardzo grubym głosem: „coś nie wyszło!” — i zapadła kurtyna. Za to orkiestra Domu Młodego Robotnika, że znakomitym pierwszym skrzyptkiem w wieku lat chyba 12, dzwignęła znowu imprezę do stopnia piątki z plusem — i dwaj moi starzy profesorowie, między którymi siedziałem, otarli pot z czoła ze skrytą ulgą i rzekli niby do siebie, jakby mnie przy tym nie było: „tak sobie, — ale to nie to, co tamtym razem...” — przeniknaliśmy jednak ich sroga i tklivą dumę mówiącą mi: „ty sobie nie myśl, że u nas to tak nie. My nie gorsi...” I żeby do reszty udać obojętność dla baletu i orkiestry, przeszli w rozmowie na inne sprawy. „Pochowaliśmy przedwczoraj profesora Wyrwę, pamiętasz? Uczyl cię gimnastyki!”. Pamiętam, i właśnie jego nie pomówiłbym nigdy o to, co się stało. Przyjrzałem się bacznie moim rozmówcom — profesor Z. ssał, jak zwykle, miętowy cukierek, żeby stracić zgagę, profesorowi P., który się lubi śmiać, przybyło złotych zębów. O, ja niemądry — może oni rzeczywiście niewiele spoglądali na scenę, odmuchieli innym niż z kapeli, milczącym i groźnym tchnieniem.

Anibym nie mógł, ani nie chciałem wywnioskować się do zaproszenia kolegów, żeby spędzić jeszcze z nimi czas jakiś. Moi reszcowscy opiekunowie zgodzili się na „pół godzinki”, i powiódł nas Cesio L. do swego mieszkania, drogą zawitał, wśród miasteczkowych ogródków, opłotków, sadów i cudzych podwórek. Powitała nas jego żona Irena, najładniejsza niegdys w D. seminarzystka; zeschupała teraz, urodę jakby skupiła w oczach, jeszcze bardziej promiennych i pełnych sfovcy, a wiele już wiedzących. I nie poszarzały jej przelisczne, złote warkocz. Przedstawili mi dwie podroście już córeczki i trzecią najmniejszą w wózku, po czym wyprawili wszystkie spać, chociaż te starsze bardzo się napraszały, by pobyć z nami. Ucieszyłem się przybyciem koleżanki pani domu, Stefy, też ongiś dobrej znajomej ze szkolnych zabaw i wagarów. Stefa też wysłała za mąż, za inżyniera, mieszką w Stalinoogrodzie. Przyjechała do rodziny, dowiedziała się o niedzielnym imprezie i odłożyła powrót o parę

dni; usiedliśmy obok siebie, przytupując się sobie ukradkiem, po spacerowisku. Jej czas wyszedł na dobre; dzieciennie dawniej okrąglą twarz nabrała w owalu znużonych niwoc, zmiennych w wyrazie cieni, oczy nauczyły się ironii; i należały do kobiet, którym wolno się malować. „Ty nie jesteś z nami naprawdę” — powiedziała, i uśmiechnęła się meżnie, a przy tym jakby wyciekając. I protestowałem, i potwierdziłem — zwierzyliśmy sobie szczerze, jak to jest, gdy między ludźmi przepłyne rzeka lat, gdy pamięć nazbyt długo nie dobiła do nowych miejsc na tym samym brzegu. Obcość, bliskość — jak wyznaczyć tym sprawom granice, skoro wspólnego gruntu brak? A przecież my tu wszyscy cieszymy się spotkaniem, wyciągamy do siebie ręce, klepiemy się po ramionach, tracimy się kieliszkami, i aż się zachylamy, tak nam pilno dowiedzieć się o sobie wszystkiego — a przy tym za głośno się śmiejemy, zbyt gorliwie przetrząsamy nieważne sztabackie wspomnienia i drżymy — tak, każde z nas drży, by przy owalnym, rojnym stole nie zapadła nagle cisza. Więc przeglądaliśmy album z fotografiami, rozpatrujemy wspólne materialne tableau, i jeszcze drugie, wypełnione naszymi karykaturami, które tak wyborne wykonał Cesio. Twarze nasze — i jakby nie nasze. Mało nas przy tym stole. Zbyszek nie żyje. Staś nie żyje. Edek był po wojnie starostą, teraz w Warszawie na urzędzie. Marian nie żyje. Wlodek podobno za granicą. Tosiek chory, coś z sercem nie bardzo, był na dyskusji, miał tu przyjść i nie przyszedł. Emil w KBW — pułkownik. Józek nie żyje. Jan też zginął („a pamiętacie, jak wkuwał?”). Tadek zakopał się na wsi, gospodarzy wraz z bratem, obaj nieznani. Józek J., mój dawny sąsiad, zmarł na obczyźnie już po okupacji. Ciągłonie się rejestruje imion i nazwisk. Trzecia część pochłonęły lata wojny. Piijemy za ich pamięć, pijemy za nasze zdrowie, dziwno nam teraz, żeśmy żywi.

„Ty się nie gniewaj — zwraca się do mnie wesoly Stefan — że nycie tu dzisiaj raz z razem zaczepiamy, że tyle tu na twoj temat dociekpowania, przgadaduszke... — to, rozumiesz, taka z g r y w a, bo jakże inaczej? my wszyscy pić nie umiemy... Myśmy tu na ciebie czeka!”.

Nie bardzo chcą mi opowiadać o swych zawodowych zajęciach. Ze nic szczególnego. Nieśmiały Józio Z., bardzo jeszcze i dziś dziecienny, skoń-

czył dwa fakultety i pracuje naukowo, bardzo w swej chemicznej branży honorowany. Adam J. kieruje jakimś spółdzielczym przedsiębiorstwem. Większość trzyma się publickiskich zakładów publicznych, są tam kierownikami działów, oucnałterami, personalnymi. Gospodarz Cesio dyrekturuje w czymś o bardzo długiej nazwie, od czego zależy zaopatrzanie w żywność — i istotnie, ze swą pełną rumianą twarzą jest uosobieniem potrzeb doczesnych. A siedzący przy mnie Franek z cygańską twarzą powtarza nie pamiętam po raz który: „Wiem co to szczęście, odkaś się ożeniem. Nie ma, bracie, lepszego szczęścia. Ale ty nie znasz mojej żony...” — i wlepia we mnie kocięjące oczy, jakby już powinien zerwać się z krzesła i biec, by ten jego dobry los zobaczyć i pochwalić. W jakiejś chwili podszedł Cesio, nachylił się nade mną i bez żadnego nawiązania rzekł półszeptem: „Widzisz ten portret chłopczyka nad tapczanem. Podobny do Irki, prawda? To był nasz syn jedyny, dziecko najukochańsze. Cztery latka już miał, jeszcześmy wtedy byli na wsi, tam Irka uczyła. Fura go zwyczajna przejechała, na drodze, fura. Jacyś pijani wracali z chrczin. Nie ma dla mnie, bracie, słońca od tego dnia”. Tak to do kładnie powiedział. A jeszcze brzmiał mi w uszach jego śmiech sprzed minuty. Wrócił na swoje miejsce, gościnnie napelnił wszystkie kieliszki. Trzeba się było zbierać do powrotu, i za późno sobie przypomniałem, że Staszek Sz. chciał odbyć ze mną rozmowę na osobności. Lecz już powstał z miejsc ciemprawy reszcowianie, wszyscy zaczęli mówić na raz bardzo głośno i bardzo śpiesznie. „To nie — poglaskał mnie Staszek po rękawie — pożyczmy, posadamy...” — zatoczył dłonią krąg gestem niedokończonym, zagadkowemu, uśmiechnął się, jak to on, z ostrożną, sceptyczną dobrodusnością, i dopiero teraz zrobiło mi się strasznie żal, że się pewnie nieprędko wszyscy razem zobaczymy i że tak się jakoś stało, niezupełnie a bezpowrotnie. Przeprowadził mnie Cesio przez ciemny dziedziniec do samochodu. Uściśnaliśmy się. „Tak, Cesiu”. „Tak, Wilek”.

Resztę zapiszę w Warszawie. Już rano, powiedziałem. Moi gospodarze, słysząc przed drzwi, właśnie wstają.

Nie wiem czy to co piszę jest reportażem i martwię się o granice sprawozdawczych uprawnień. Najtrudniej przejrzeć się, zobaczyć siebie w swojej pracy piszącemu. Naukcyiel widzi się w postępkach i zachowaniu dzieci, architekt i murarz w budowie, oficer w sprawności żołnierzy, uczony w realizacji wynalazku. I wszyscy oni mogą być są, nieskrępowani i naturalni, i bardzo

szczerzy w tym sprawdzaniu samego siebie. Pisarz „odnaja ię” w czytelnikach. Czy istotnie? Czy bezpośrednio i od razu? Są po drodze zapory, i to różnego rodzaju. Najbliższa: profesjonalny krąg kolegów, krytyków, kibiców. My, piszący, wzajemnie naszą pracę owstydzamy, przedrzeczamy, pomniejszamy, redukujemy do sensów pozatekstowych. Stąd ucieczka od wyraźnego „ja” w pisaniu (poezja korzysta z przywilejów, nie o niej tu mowa), ucieczka w bezosobistą obiektywizację, w konwencjonalizm. Przyzwyczailiśmy do tego i czytelników, oni też przejęli konwenans. W tej chwili chodzmy mi konkretnie o to co piszę. Czy czytelnik nie spłoszy się naruszeniem ustalanej formy? Forma przyjęta — to nieosobista, ogólnikowa i uogólniona „klawrownie zideologizowana” relacja o zdarzeniu. Obawiam się, że najczęstszą naszą praktyką reportażową nauczyliśmy czytelników rutynę w przyjmowaniu za rzecz oczywistą i nieuniknioną, iż istnieje i musi istnieć (jakoby) rozpętość między prawdą zdarzenia a relacją o zdarzeniu.

Przy tych skazach (nie jestem ich zresztą pewny) dostrzegam w czytelnikach ważne zalety, chyba nowe. Oni w doraźnej dyskusji, gdy już przełamali opory mówienia, umieją zlekceważyć szantaż narzucanej przez złą publicystykę formy, umieją zapomnieć o mistyfikacji „wypowiedzi na wyższym poziomie”, to jest wypowiedzi zapożyczonych z gazet, i mówić to co znajdują w sobie. Nie wszyscy i nie zawsze. Bywa to tak: — po serii „wypowiedzi na poziomie” wstaje ktoś i powiada: „W tej książce jest na stronie 276 o dziurawym moście, i że koło mostu jest bród, płytka woda, plaski brzeg. To po co ten chłop musiał jechać przez dziurawy most, jak był tutejszy i wiedział? A w ogóle nieczytowie, bo co na to GRN?” Po takim głosie wszystkich na sali „biegłych” inteligentów ogarnia zażenowanie, organizatorzy się prelegentowi przepaszające uśmiechy... — Przypomina mi się w tej chwili przemówienie pewnej robotnicy z Łodzi, wygłoszone w innym mieście na zebraniu poświęconym sprawie obrony pokoju — była delegatka swego związku. Nie zacytuje dokładnie, bo brak mi jej wiedzy zawodowej, i nie o szczegóły chodzi. Powiedziała mniej więcej tak: „U nas w Łodzi nie było dobrze przy wrzeczaniu, bo (...), ale potem nauczyliśmy się (tu garść informacji fachowych). To co dziś w waszej fabryce widziałam, dosyć mi się podoba, ale szkoda że za mało widziałam, bo macie na pewno i lepsze...”, to bym potem nauczyła

moje towarzyszkę z Łodzi”. I znowu: słuchaczom-inteligentom brakło w jej słowach „kompozycji” i „uogólnienia na temat”. Co nerwowski podpowiadali wśród zastępych od tremy uśmiechów: „to znaczy — ruch racjonalizatorski!”, „to znaczy — socjalistyczne budownictwo!”, „to znaczy — walka o pokój”. Słuchała podpowiadała z nieco gorzkim ale nieusułunym uśmiechem, trochę potakiwała głową, trzęsła przeczyla, gdy jej za nadto przeszkadzali — i była w niej jakaś własna i mocna, lepsza racja.

W obu przykładach grunt jest ten sam. Nie umiem go dostatecznie opisać ani nazwać. Rośnie od dołu jakiś nowy, spontaniczny, formowany przez życie potoczne, przez pracę, przez świadomość ludowych praw — racjonalizm. Realizm. Odbiorcy kultury, czytelnicy książek są rzeczowi, ich sądy są konkretne. Głos o dziurze w moście i jemu podobne sygnalizują nową formę (czy tylko formę?) w aktywności kulturowej, twórczej mas. Trzeba, by tej formie — czy także treści — wyszło na przeciw odpowiadające jej, najskuteczniejsze działanie sztuki, a także naukowej wiedzy teoretycznej. Filozofia marksistowska, puznawczy mechanizmy historii i ujawszęj w w prawa, drogą dedukcji pozwoliła poznać społeczeństwo z astane; przedzierała życie, jakie było do wczoraj, do dziś, niejako w głąb — wyjaśniła je. Życie społeczeństwa się zmienia, przybysują i narastają nowe fakty, nie odczytane, nie zapisane. Trzeba je zobaczyć, nazwać. Może już teraz sumują się one z impetem upowazniający... do wielkiej indukcji, do uogólnienia, do wydobycia z nich nowych praw.

Myślę o rozmowie z marynarzem Dalberskim, o rozmowach z kolegami w D., o setkach innych przygodnych rozmów. Rysują one trudny do utrwalenia desen myśli, przekonań, poglądów — miesza się w nich i kłóci wiara ze zwątpieniem, zgoda na nowe życie i nieufność „tak” i „nie”. Wszyscy ci ludzie nie idą wydeptaną drogą, są samodzielnymi i rozmaici, są niedość znani. Ślad ich stóp jest kapryśny, zagmatwany, jawi się, to znów niki. Nie wiem, ile w naszych rozmowach było wzajemnej przyjaźni, ile obcości, ile współbrzmień przypadkowych, pozornych. Nie wiem, jacy są. Nazywam siebie w myśli te rozmowy: „niepewne wersje prawdy”. Dręczy mnie ta bezsilność — więc znowu trzeba się wybrać do Polski. Nie ma innej rady.

Wilhelm Mach

Marli i Kazimierzowi Brandysom,

*) COP — Centralny Okręg Przemysłowy, nazwisko przed wojną zamierzanie inwestycyjne, podjęte dopiero w latach 1932-39, na skale dużo mniejsza niż jedyna dziesiąta inwestycji przemysłowych planu 6-letniego.

JERZY JANICKI

Młodzi ludzie i morze

Kiedy pierwszego maja lub w wieczór poprzedzający któreś ze świąt, gruchnie nad Wisłą artyleryjska salwa, podskakując na krześle i mijając sekundy zanim zestroję na powrót rozlatane nerwy.

I nagle znajduję się w takiej sytuacji: grupki marynarzy w szarych hełmach oblepiły wycelowane w niebo działa. Oficer stojąc pośrodku centrali artyleryjskiej, ze wzniesionym w górę prawym ramieniem, wyrzuca z siebie gwałtowne komendy, powtarzane natychmiast wiernie, jak echo, przez kilku naraz celowniczych.

— Położenie — 40!

— P...żenie cz...dzieści! Naaaa-astawiono!

— Kąt lotu — 20.

— K...tu — dw...ścia! Naaaa-astawiono!

— Szybkość — 100.

— Sz...ość sto! Naaaa-astawiono!

— Tempo — 10.

— ...prziesięć! Naaaa-astawiono!

— Pa!

I na to już nie celowniczości odpowiadają, lecz działa. Plomień jak czerwona chusta przysłonił horyzont, grzmot targnął okręt, zachwiałem się na nogach, w nos wwiercił się zapach spalenizny i swądu. Trudno było rozpoznać ruchy artylerzystów wrzucających do dział nowe pociski; wystrzelone, jak zepsute kęgle stały rozrzucone po pokładzie. Znowu huk i znowu błyskawica ognia. Oficer dyktował jeszcze poprawkę. Ciekawe, że w tej dudniącej kanonadzie słyszałem każde słowo, rozumiałem każdą komendę i jej zniekształcone, szybkie powtórzenie. Ciekawe, że jeszcze usłyszałem spokojne:

— Stój, przestań strzelać. Działa na zero! a w sekundę później, już tylko widziałem m poruszające się usta oficera. Podobne wrażenie gwałtownego leku o własny słuch nabiera się w radiowym studiu, kiedy przez szybki widzi się poruszających aktorów, a nawet z ich układu ust domyśleć nie można się, co mówią.

Oficer śmiejąc się zwracał się do mnie.

— Nie słyszę! — wrzasnąłem z całej mocy, ale wydało mi się, że za słabo, bo sam nie usłyszałem nic.

Oficer nie przestawał poruszać wargami. Wskazałem palcem na ucho. Dopiero po paru minutach, jakbym nieoczekiwanie włączył odbiornik radiowy, usłyszałem końcowe zdanie jego przemowy:

— ...ale nie wysłaliśmy z rejonu zagrożonego przez okręt podwodny. Skinąłem głową; wiem, wiem, znam przecież plan dzisiejszych ćwiczeń. Ale nie wiedza o tym marynarze; nieprzyjacieli wszak nie zwykli uprzedzać swych zamiarów. Niebawem więc znów rozlegnie się dwukrotnym bekiem syrena i głośniki powtórzą rozkaz dowódcy:

— Alarm bojowy! Alarm bojowy!

Już dziś raz tak było, kiedy radar wykrył dużą grupę ech, a zaraz potem obserwator na pomoście bojowym wrzasnął z przejęciem:

— Szturmowce prawo czterdzieści pięć!

To właśnie do nich strzelały działa niszczyciela.

Nie zamierzam tu opowiadać nie stworzonych historii, opisywać sztormów, przysiód i niebezpieczeństw, co na ogół bywa nieodłącznym atrybutem morza we wszelkich jego opisach. Znalazłem się na morzu w zamiarach jak najbardziej prozaicznych, nie jak dzielny żeglarz Sindbad z listem od Diabła Morskiego, ale po prostu z niebieskiego koloru delegacją służbową. Wcale to nie oznacza, że nie było przygód, bo na morzu musi być przygoda; że nie powróciłbym pełen wrażeń, bo morze dostarcza ich w ciągu jednego dnia więcej, aniżeli kilkudniowa wędrówka choćby do najbardziej nieznanym lądzie. Jest coś zdumiewającego w fakcie, że właśnie na morzu — na tej jednostajnej, bezkresnej płachcie — miast monotoni, za każdym razem odkrywamy się coś nowego, umysł rejestruje ze zwiłokrotnioną czułością wrażenia i refleksje. Morze to chyba jednak jakiś psychiczny odmianowy narkotyk; wciąż się przypominam, wciąż daję znać o sobie, choćby się już wróciło na ląd.

Po przyjeździe na wybrzeże, prawie godzinę motorówka wiozła nas do wojennego portu. Znowu przylapuję się na tym, że popętniam gaffe, przed którą srogo ostrzegali mnie marynarze. Otóż nie — „motorówka”, a pomocniczy okręt motorowy. Wszystkie pływające jednostki będące w posiadaniu Marynarki Wojennej są okrętami. Długo i cierpliwie wbijali oficerowie w pamięć lądowego szczerą rygoru morską terminologię.

— Dla was to może wszystko jedno: okręt czy statek, w Warszawie nikt wam na to nie zwróci uwagi, a u nas śmiać się z was będzie nasz okrętowy kucharz.

Jest więc okręt podwodny, a nie jakas tam łódź, jest okręt kutrowy, nie zaś kuter. Tak samo jak jest pomost bojowy, a nie mostek kapitański, jak jest pomocnik dowódcy, a nie zastępca. Odebrawszy słowo honoru, że pisząc nie pomyli tych terminów, puścił mnie do Warszawy. Powtarzam — morze nie porwała szybko o sobie zapomnieć; kołysał się przedział kolejowego

wagonu, kołysał się potem obok Dworzec Wschodni, chwiało się mój pokój, wirował w oczach plac Trzech Krzyży. I tak przez cztery dni jeszcze. Myślałem wprawdzie, że to zmęczenie po kilkudniowych „rejsach”, że jest mi po prostu słabo. Nie podobnego: słabnący człowiek nie zamawia w knajpie drugiego kielicha schabowego, bo jeden to była stanowczo za mała porcja przy apetycie nabytym w messie okrętowej. Wszystko kołysało się i chwiało dookoła — to właśnie morze tak uporczywie nakazuje o sobie pamiętać.

Nie ma ani słowa przesady w tym, że morze urzeka, że można je pokochać, tak jak się kocha swoje rodzinne miasto i dom, w którym się odrabiała lekcje.

— Wicie — zwierzał mi się pewien lekarz — oficer Marynarki — pochodzę z Łodzi, miasta jak wiadomo bez wody, sam nigdy morza na oczy nie widziałem. Kiedy po studiach skierowano mnie do Marynarki, zbierałem zupełnie. Nie, żebym miał pietra, choć w Łodzi oglądałem jakiś japoński film z wojny morskiej i zimny pot mnie oblewał w ciemnej sali kina. Nie to. Jak ja tam wtrzymam? — rozważałem. Rozumiecie — studia, wielkie miasto, kina, znajome i napie — morze, woda, woda i woda. A ja sam, powtarzam z Łodzi — uważałem to wszystko za jakiś żart łośu. Możecie mi wierzyć, że bronilibym się dzisiaj rękami i nogami, gdyby mnie chcieli przenieść do wojsk lądowych.

Szczególnie ciekawa stała się służba na morzu właśnie teraz, kiedy Marynarka naza rozporządzała zaczęła najnowocześniejszym wyposażeniem okrętami, najnowocześniejszym uzbrojeniem i sprzętem bojowym. Równocześnie do tego, radykalnej zmianie uległa też taktyka prowadzenia morskiego boju. Dziś spór o współczesnego morskiego boju opiera się na ubieganiu wroga w jego zamiarach, na wyprzedzaniu jego uderzeń. Nie wyobrażajmy sobie, że bliska obecność okrętu podwodnego zauważa się przez lornetkę, która wykryje sterczący nad wodą peryskop. Urządzenia radarowe i hydroakustyczne wykryją nieprzyjaciela na odległość kilkudziesięciu mil; i nie tylko wykryją, ale określą dokładnie jego położenie i szybkość z jaką się zbliża.

W związku z nowoczesnym wyposażeniem wiąże się kwestia wysokich wymogów w wyszkoleniu, jakie stawia się przed załogą. Tysiące młodych ludzi staje się tu wysoko kwalifikowanymi fachowcami: mechanikami, radiotelegrafistami, poznają prawa fizyki i nawigacji. Poglębianie wiadomości technicznych poszerza niezwykle horyzont myślowy tych ludzi.

Wszystko to składa się na nieklamną dumę z noszenia granatowego munduru i białej czapeczki z napisem na otoku: „Marynarka Wojenna”. Marynarze są niezwykłymi patriotami swego rodzaju broni, w czym utwierdza ich jeszcze piękna tradycja bojowa Polskiej Marynarki Wojennej. Jest rzeczą wspaniałą czy czołgista lub piechur wyrecytuje tak dokładnie daty wielkich zwycięstw swych poprzedników, jak to uczyni każdy marynarz.

Sa to tradycje wielkie i piękne; od zwycięstwa pod Oliwą poczynają

jąc, a kończąc na bohaterskich czynach kampanii wrześniowej, kiedy to pokłady okrętów pod białoczerwoną banderą były jedynym skrawkiem wolnej ojczyzny. Legendarne wprost stały się czyny okrętu podwodnego „Orzeł”, który przedzierał się na wody brytyjskie bez dowódcy, napotył rozbrojony, bez kompasów i map nawigacyjnych, a jeszcze zdołał storpedować statek niemiecki „Rio de Janeiro” wiozący Wehrmacht. Dopiero w dwa lata później „Orzeł” znalazł swój grób gdzieś pod Helgolądem. „Piorun” stawiał czoła dziesięćkroć większemu od siebie pancernikowi „Bismarck”, nad którego usmierceniem pracował przez kilka dni cały konwój brytyjski. Wiele bohaterskich polskich okrętów znalazło swój grób na dnie obcych, dalekich mórz — koło fiordu Rombakken poległ „Grom”, „Kujawiak II” spotkał się z miną koło Malty, poniósł śmierć na własnych wodach „Pomorzanin”.

Na tych okrętach, gdzie bosmanami są starzy marynarze, codziennie po wachcie słychać w pomieszczeniach dźwięki opowieści o czynach bojowych. Właśnie na niszczycielu, na którym odbyłem pierwszy reporterski chryst artyleryjski, słuchałem takiej opowieści bosmana Antoniego Drzygza. Włiznąłem się po strumyńskim trapiu w dół; marynarze leżeli w kojach. Bosman przysiadł na skrzynce z amunicją i ciągnął swą rzecz o „Pomorzaninie”, na którym służył aż do pochowania go pod Jastarnią; w ogóle Drzygza pływając już dziewiętnasty rok „Pomorzanin” to był okręt hydrograficzny, zginął od bomb, ale zasług specjalnych nie posiadał. Trzeba było jednak widzieć, z jaką pasją Drzygza opowiadał o jego zaletach, jak plastycznie malował obraz odpierania myśliwców przez gniazda cekaemów.

— Cekaemów? — zdziwiło się dwóch z najwyższych koi.

— Tak, tak — odmachnął się niechętnie bosman, a przykro mu się zrobiło nie dlatego, że mu przerwało, a że okręt jego takie tylko miał uzbrojenie.

W takich opowieściach narrator nie wywołuje z pamięci nadzwyczajnych czynów, słuchacz nie węsza za karkołomną przygodą. To są po prostu takie wspominki rodzinne o czynach dziadusia, który choć bohaterem nie został, przecie miło jest wiedzieć, że ktoś z rodziny dzielnie sobie poczynił.

Nie mogę w pełni wyjaśnić, co było głównym powodem, dla którego czulem się na pokładzie niszczyciela w jakiś nieuchwytny sposób bezpieczny, choć przecież nie mi nie groziło, jakiś pewny, jak przy boku bardzo silnego i odważnego towarzysza. Może umyślnie dla siebie to właśnie wtedy, gdy artylerzyści prażyli ogniem pozorowane samoloty, może wtedy, gdy ekran radaru z prorożką nieomylnością wykazywał położenie innych okrętów.

Kiedy wychodził z portu, sygnalizował meldowali wrzaskliwie!

— Statek pod banderą fińską, po prawej burcie, salutuj!

— Statek pod banderą duńską, po prawej burcie, salutuj!

— Statek pod banderą grecką, po lewej burcie, salutuj!

Przykładałem ciężką, wielką lornetkę do oczu i patrzyłem na skła-

dającego morską modą ukłon, gonąc naszego portu. Tam, wzdłuż burty stłoczyli się marynarze i długo odprowadzali wzrokiem polskiego wojaka. My — kierowaliśmy się już całą parą naprzód na poligon.

Brzeg szybko zmętniał w oddali, stał się w końcu wąską kreską oddzielającą niebo od pomarszczonego morza. Dziób niszczyciela ciał Bałtyk. W dawnej terminologii okręt tej klasy zwał się kontrtorpedowcem; lecz teraz wobec jego unowocześnienia, wobec możliwości spełniania różnorodnych akcji bojowych, bardziej właściwą i stosowną stała się nazwa — niszczyciel.

Z pomostu bojowego niesposób ogarnąć wzrokiem całego pokładu. Pomocnik dowódcy z przewieszonym na piersiach mikrofonem ugania się po pomoście. Jego komendy natychmiast powtarza kilkanaście głośników przekrzykujących dudniące motory maszynowni. Pomost jest najeżony tubami głosowymi. Biegają one do maszynowni, do radiokabiny, do kabiny radarowej. Każda tuba przykryta jest gwizdkiem z niewielką, ruchomą kłapką. Gdy któryś z gwizdów przagnie powiadomić o czymś pomost, gwizdże na dole, kłapka wówczas podnosi się i już wiadomo, do której tuby przystawiać należy ucho.

Po godzinnych rejsie podłuch zameldował, że znaleźliśmy się w re-

— SB 8 gotowy do boju! — hucała w tubach dalekie głosy. Pomocnik przeżył się przed zwierzcniakiem.

— Oooo-bywatele! dowódco. Okręt gotowy do boju!

Dowódca teraz dopiero podnosi nieco wyżej swój monotony, spokojny głos:

— Gotowość bojowa numer trzy. Wariant obrona przeciw okrętom podwodnym. Na stanowiskach pozostaje zmiana druga.

Pomocnik naciska rączkę mikrofonu:

— Przejęć na podłuch wachtowny w układzie szumu namierzania! Zasięg piętnaście kabli!

I zaraz potem:

— Włączyć automat impulsu!

— Jest włączony automat impulsu!

— odpowiada głos z tuby.

Popychają mnie, abym zbiegł teraz w dół, do kabiny, gdzie działają aparaty hydroakustyczne. Stąd wysyła się echo, które błdzi pod wodą. Szumi. Gdy natrafi na obiekt, w szum wdziera się jęki, podobny do pisku dźwięk. Jednocześnie włączono radary. Kto był na pięknym, angielskim filmie „Okrutne morze” pamięta zapewne scenę wykrywania radarem okrętu podwodnego. Są to zazwyczaj najbardziej dramatyczne i pełne napięcia na okręcie chwile. Nawet teraz, kiedy

Szum staje się nieznośny: echo myszkuje gdzieś w głębinach Wreszcie — jest! Płyń na górę pierwszy namiar!

— Pomost!!

— Pomocost!! — poznaję głos pomocnika dowódcy.

— Echo prawo trzdziesięć! Odległość trzynaście kabli!

Mile dzielą się na kable; kabel w przybliżeniu dwieście metrów. Moje mozolne obliczenia, w jakiej odległości jest od nas okręt podwodny, bo „kable” niczego mi nie mówią, przerywa zarzyt aparatu i potworny pisk. Strumyczek potu spływa mi po grzbiecie.

— Echo prawo trzydzieść! — brzmi następny namiar — odległość osiem kabli! Obiekt przesuwają się w prawo!

Wtedy sakramentalne: „Cała naprzód” uspokaja nerwy — atakujemy.

— Cała naprzód! — powtarza dowódca — Uwaga na bombach! Uwaga na bombach!

Wybiegam z kabiny; jestem jedynym człowiekiem na pokładzie zmieniającym miejsca pobytu: w alarmie bojowym nikt nie rusza się ze swych stanowisk.

— Pierwsza pa! — zastało mnie w połowie trupu na pomost bojowy.



Fot. Janusz Uklejewski

jonie zagrożonym przez okręty podwodne. Dowódca niszczyciela, oficer o spokojnym, rzeczowym usposobieniu, ogłasza alarm bojowy. Pomocnik włącza te dwa słowa w mikrofon. Niemal natychmiast tnie powietrze gwizd syren, zgłoszony w chwilę później dudnieniem butów marynarzy wysypujących się ze swoich pomieszczeń. Teraz kłapki tub wyskakują zaczynają z gwałtowną szybkością.

— SB 1 gotowy do boju!

Wiedomo że okręt podwodny uzupełnia tylko nasze ćwiczenia, chwile nasłuchiwanie szumu aparatów, chwile oczekiwania na ten drażniący nerwy jęk, podobny do nieostrożnego potrącenia struny, wyciskają nam pot na czoło. Jesteśmy jak śpiący wyszukujący końcem lasu niewidocznej przeszkody; a ona jest, jest gdzieś na pewno. Kilkaś ludzkich istot zdążyło się teraz wyłączyć na mechaniczny mózg aparatu — detektywa.

Gdzieś tam, niewidoczne zagraly wyrznię.

— Druga — pa! — i wtedy dopiero kilkusetmetrowy słup wody wyrzucił za rufą; głucho, jękiwa detonacja targnęła okrętem.

— Trzecia pa! — I znowu wzbuch drugiej bomby wypatrzył morze za nami, wzbili się i skreślił w górę w upiorny korkociąg.

— Przesłuchać rejon! Przesłuchać rejon! — rozkazuje dowódca.

Wtedy dopiero spostrzegłem, że na rufie jest puste miejsce po trzech zielonych, blaszanych beczkach. Tu! Bomby głębinowe wzięły za zwłoki beczki. Dobrze, że o tym nie powiedział nikomu z załogi przed alarmem...

*

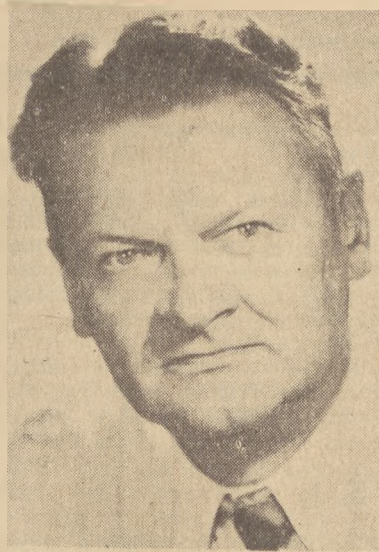
...Następnego dnia zaokręlowałem się na tralowiec. To okręt - saper, okręt, który otwiera drogę korwom, zabezpiecza rejs niszczycielom i ścigaczom, oczyszcza przejście dla okrętów podwodnych. Ten okręt traluje morze, przeczesuje jego głębokie tralami, które wyszukują min. Nie ośmieliłbym się w tym miejscu wyliczyć wszystkich rodzajów min, których mnie wyuczono. Są kontaktowe i niekontaktowe, akustyczne, magnetyczne, dennie, indukcyjne; w każdym razie tralowiec jest właśnie przeznaczony do ich wyławiania. Dowódca takiego okrętu musi być mistrzem w swym rzemiośle, bo dowódca taki jak saper w polu — pomylić się może tylko jeden raz. Z całej marynistycznej literatury jakiś dzielnik przywykliśmy kojarzyć morskie doświadczenie z obrośniętą brudą głową wilka morskiego pykającego fałkę. Proszę uważać — dowódca tego tralowca na lat 23.

Po odumowaniu, zmienił swą białą czapkę na granatową furazerkę, mundur zaś na lekką, drelichową bluzę. Ryszard P. — dwudziestotrzyletni dowódca jest wychowankiem Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej. Pochodzi z Mławy; miał szesnaście lat, kiedy znalazł się na kursie żeglarskim w Lebie. Tam oblało go przy egzaminie; jakoś niebardzo był w zgodzie z matematyką i fizyką. Ale Ryszard P. już zawarł w Lebie znajomość z morzem. Już wiedział, że będzie marynarzem. Wrócił do Mławy, zdał maturę i następnego roku przebrnął gładko przez egzamin.

Ten dowódca był dla mnie drugim po lekarzu przykładem wierności, jaką dochowuje się morzu. Z tą

(Dokończenie na str. 6)

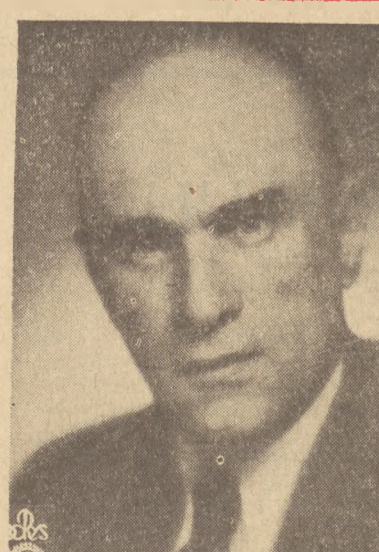
Nagrody państwowe I stopnia w dziedzinie literatury



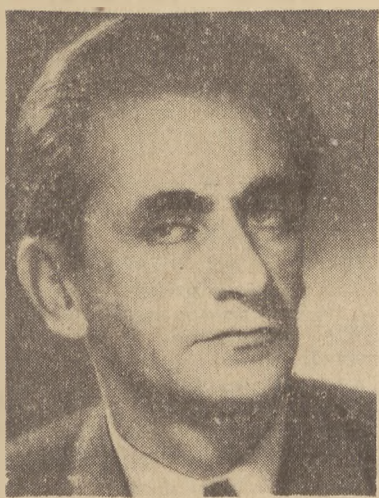
Władysław Broniewski



Maria Dąbrowska



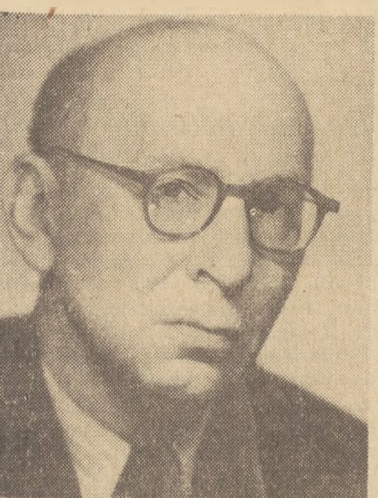
Jarosław Iwaszkiewicz



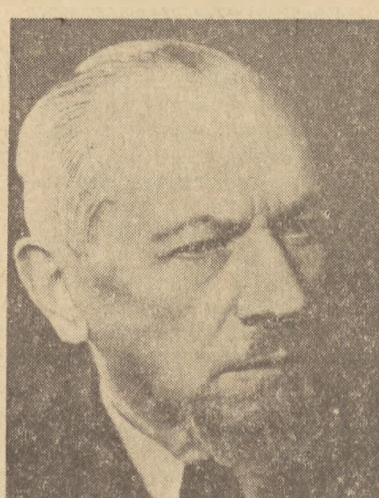
Mieczysław Jasłun



Leon Kruczkowski



Antoni Słonimski



Leonold Staff

PRZYSZŁOŚĆ POEZJI

Czy nie znudziło się wam mówić i słuchać o upadku naszej poezji? Tak zwłaszcza, jeśli mówią o tym poeci. Bo ci nigdy nie mówią tego szczerze. Mieliby się w ten sposób wyłączać z liczby żyjących współczesnych poetów? Czy, podkreślić, że oni właśnie mają tak wysoki ideał poetycki, że wszystko to, co się u nas poetycko czuje i pisze — nie warto jest wobec tego ideału poezji garści rozczochranej słomy?

Ależ ty jesteś młody. I możesz przerosnąć najlepszych poetów. Nie martw się więc, że wielkie zwycięstwa poetyckie nie odbijają twojej twarzy i twoich oczu, w których pali się życie.

Kolumna młodych, którą w tym roku drukujemy jako głos młodej poezji polskiej na światowy Festiwal Młodzieży nie skłania bynajmniej do pesymizmu. Przeciwnie. Pokazuje ona, że jest powód do radości. Kolumna taka prezentuje zawsze raczej wiersze, a nie poetów, gdyż nie uszyscy młodzi, piszący ciekawe a nawet dobre utwory, będą poetami. Mimo to widzimy tu kilka wyraźnie zdeklarowanych indywidualności twórczych, a wiersze przy tym tak różne, że nikt by już, jak przed niedawnym czasem, nie wysunął wobec młodych zarzutów, że można by nad ich wierszami pozmienić nazwiska tak, żeby czytelnik tego nie zauważył. Rozmaitość tonów, tematów, indywidualności — oto co skłania do optymizmu, gdy myślimy o przyszłości naszej poezji.

Jednocześnie — widać pewne pogłębienie liryki w stosunku do oficyjności poprzednich naszych kolumn. I to bez rezygnacji z aktywnej postawy słowa poetyckiego. Mniej „wydźwięków“ i dużych słów, mniej głoślowych zapewnien, że idziemy w jednym szeregu i że budujemy socjalizm. Ale więcej trudu przeżycia, więcej myśli i problemów, którymi żyje pokolenie. Młodzi robią w poezji to, co mogą i co powinni: kształtują swój obraz świata, zastanawiają się nad obiektywnym sensem zjawisk, nad przemijaniem czasu, nad moralno-filozoficznymi racjami życia, pragnąc raczej rozum i sensu przeciwstawić racjom pozorów, wiary, przesądu. Młodzi myślą o tym, o czym powinni myśleć — odnajdują swoje miejsce w historii, określają swój stosunek do wojny, która dla tego pokolenia jest już historią i swój stosunek do walki o pokój.

Wydaje mi się, że ta tęsknota do jaśniejszego określania swego „miejsca na ziemi“ jest zdrowa i szlachetna. Zlekceważenie tej problematyki światopoglądowej tak bardzo przeciwie spłyciło literaturę tzw. produkcyjną i naszą polityczną poezję.

Młodzi poeci uczyniają widzieć świat w szczegółach tworzących obraz rzeczywistości i odkrywają, że nie jest on taki prosty. Aby dotrzeć do niego, aby go wyrazić nie wystarczy go po prostu po reporterzku zarejestrować.

Próby groteski wynikają z chęci odkłamania pozoru, który często okrywa nie świat przecież, lecz zaskorupiałe o nim mniemania. A jednocześnie — opisać świat, narzucić sobie rygor artystycznego zadania — to wiele, to bardzo wiele i to często wystarcza. Gdyż dobry, uczciwy t. zn. realistyczny obraz — wprowadza czytającego w gęszcz rzeczy, postaci, zjawisk, które same we wzajemnym działaniu prze-

dłużają myśl artysty, myślą dalej za niego, mówią nieraz czytelnikowi od siebie więcej, niż artysta kazał im powiedzieć.

W okresie walki o realizm socjalistyczny w poezji — dokonano w naszej krytyce szeregu szkodliwych uproszczeń. Dotyczyły one zwłaszcza stylu poetyckiego.

Wielu naszych najmłodszych poetów buntuje się przeciwko uproszczonemu rygorom tzw. tradycji narodowej w poezji, która jakże często oznacza u nas właśnie ideał skamandrycki i post-romantyczny. Szukają trudniejszej, odpowiedzialniejszej prostoty, choć wydaje mi się, że nie zdają sobie w pełni sprawy z wagi problemu tzw. czytelności poezji. Nie można nie doceniać tego, że przepaść dzielącą często czytelników od słowa poetyckiego — okrutnie mści się na poetach, na atrakcyjności poezji, na możliwościach jej oddziaływania.

Wydaje mi się, że wśród większości młodzieży dojrzała już tęsknota do mądrego nowatorstwa stylu, nie nowatorstwa za wszelką cenę, ale nowatorstwa polegającego na znalezieniu najprostszego, ale najmniej konwencjonalnego wyrazu dla własnego, autentycznego przeżycia. Tym tłumaczy się wpływ, jaki na niektórych młodych poetów (a przecież nie tylko młodych) wywiera poezja Różewicza nie znosząca uładniania rzeczywistości i żadnego zakłamanego konwencjonalizmu, nawet jeśli był zwał się on szumnie tradycją narodową.

Odwaga „bycia sobą“, odwaga smutku i goryczy — jakże to żalosne przypomnienie, że musiał być przypominane. Bez tej odwagi jednak nie ma sztuki.

Ale powie ktoś — potrzebna jest dziś inna jeszcze odwaga. Gdy wielu naokoło nas mówi słuszenie przez wielkie S, o Sztuce, o swobodzie twórczej, gdy wielu z nas z grymasem czyta współczesne wiersze — potrzebna jest także odwaga ideowości i bojowości poezji. Mam wrażenie, że młoda nasza poezja nie zapomina o tym, zajmując się czwótkiem głębiej, lepiej, szczerzej niż oficjalna, okolicznościowa czy też tylko „reportażowa“, poezja młodych sprzed kilku lat.

Mimo to, nie wolno nam zapominać, że rozwój ideowy i artystyczny poezji — zależy od jeszcze głębszego widzenia życia, chwyłania jego problemów i spraw. Sama introspekcja, nawet najmyślniejsza jest dla poezji źródłem płytkim i szybko wysychającym.

Oto kilka tylko myśli, które nasunęły mi się przy czytaniu poniższych wierszy.

Dłuższe badanie nad stanem młodej poezji jest dla niej boleśnie krzywdzące.

Krzywdząca jest jeszcze jedna sprawa — nieustanny brak miejsca dla druku wierszy nie tylko młodych poetów, miejsca dla rzeczowej dyskusji nad sprawami poezji w ogóle, ponieważ nie bardzo obchodzą one nasze czasopisma literackie. Potrzebne jest pismo poetów, które byłoby jednocześnie bazą rozwoju młodych talentów poetyckich. O potrzebie takiego pisma mówi się nieustannie w warszawskim środowisku poetów. Czas postawić te sprawy ostro na zewnątrz, zwłaszcza, że pismo takie winni jesteśmy także młodym.

Anna Kamińska

Miałem władać wieloma językami
jak gielką klingą wiatr
i wsłuchiwać się w granie barw
ciepłych, ludzkich ust —

lecz za drutami twardy kulem kamień.

Miałem gwiazdy nawlec na nitkę
i nauczyć się wreszcie jedynej modlitwy...
Miałem liście zeschnięte poukładać równo
by na tych mapach gdzieś umieścić światło —

lecz musiałem tamować krew czarną.

— Więc dziś walczę,
walczę jak miliony ludzi —
O słońce i ziemię,
O człowieka i prawdę,
O Pokój —

żeby syn mój już nie był takim nieukiem.

CZESŁAW BIAŁOWĄS
(Wrocław)

DWUDZIEŚTOLETNI STARZEC

Przychodzi co dzień nie wolany;
Uczy: rozpychaj się łokciami.

Jak tępy uczeń znane twierdzenia,
Z mechaniczną powagą wyliczy:
sprawdliwościć nie ma...
miłości nie ma...
A wspólne szczęście?, dobro?, prawda? —
znak zapamiętania stawia
i milczy.

W końcu ręce rozrzuci bezzadnie;
Takie jest życie. Nie poradzę.

Słucham — lituję się nad starcem.

— Wy wiecie, kto ja jestem?...
Ale bachory darty się dalej, z
wielką werwą:

— Idźcie łysy, idźcie łysy!

Więc mruknął:

— Niechże was Pan Bóg skarże.

I zgodnie z relacją Pisma, natchnionym wybiegły z lasu dwie niedźwiedzice, a rozszarpały spośród złych dzieci czterdzięci i dwójce.

Potem on poszedł swoją drogą, znów oddany rozmyślaniom. Baba i Baba zaś siedziały na piasku we

własnych ogromnych cieniach. Drapiąc się po owłosionym karku powiedziała Baba do Aby:

— Siostrzo moja, niedźwiedzico, oto ku przestrodze potomnych kazał nam być młeczem w ręku Pana. Zobaczysz, że teraz już nikt nawet jednym słówkiem nie napomknie o słodyczy naszego charakteru.

Aba do Baby:

— Trudno. Tak właśnie traci się indywidualność na rzecz roli dziewczęcej. Chodźmy płakać w ukryciu.

Ż A B K A

lap, klap — mała zielona żabka w podskokach przebywała ścieżkę, zmierzając ku wielkiej drodze. Przy ścieżce rosła palma, pod palmą stał nagi, śniady chłopczyk. Wyjął palec z buzi i spostrzegłszy żabkę złapał ją.

— O, jaka jesteś ładna! — zawołał.

— Puść mnie — poprosiła żabka — puść mnie koniecznie.

— Dlaczego? — spytał chłopczyk.

— Przypuszczam, że pochodzisz z rodziny żydowskiej, więc ci wytłumaczę — powiedziała żabka — słuchaj uważnie! Dotychczas mieszkalam niedaleko stąd u twego wujcia w bardzo wygodnym, szklanym stoiku z drabinką. Przeprowadalabym chętnie pogodę, lecz w Gosen deszcz nie pada prawie nigdy — praca moja ograniczała się do utrzymania pogody ducha. Nie myślałam przy tym wcale o dalekich podróżach, póki mój pan nie oznajmił, że pragnie wraz z innymi Żydami opuścić Gosen i zawładnąć Ziemią Obiecana, na co nie pozwalała zły faraon. Bóg karze faraona różnymi plagami. Słyszałam, że

własnych ogromnych cieniach. Drapiąc się po owłosionym karku powiedziała Baba do Aby:

— Siostrzo moja, niedźwiedzico, oto ku przestrodze potomnych kazał nam być młeczem w ręku Pana. Zobaczysz, że teraz już nikt nawet jednym słówkiem nie napomknie o słodyczy naszego charakteru.

Aba do Baby:

— Trudno. Tak właśnie traci się indywidualność na rzecz roli dziewczęcej. Chodźmy płakać w ukryciu.

MAŁGORZATA HILLAR
(Warszawa)

SŁOWA

Słowa
okrągłe, kolorowe
jak wiśnie
i czule
jak gest
pieszczącej dłoń!

słowa
jak węgiel
twarde,
które dotknięte
płonącym piórem
wybuchają ogniem

słowa
proste
jak chleb
dzień
i słońce

dziś przychodzi
do mnie
i proszą:

poustawiaj nas
w szeregach

chcemy krzyczeć
przeciwko wojnie

ZDZISŁAW JERZY BOŁEK
(Warszawa)

· TWARZ

Wytrzymaj szminkę

I puder

Tvoja twarz

Pokaż mi twoją twarz

Mówisz

będzie brzydka

i błada

Błada

Błada jak grecka rzeźba

w marmurze głowa dziewczyny

która też kochała

I pewno chciała być piękną

I kochaną

Odsłoń twój twarz

Będzie błada

Błade jest niebo o świetle

czyste

Wtedy Kocham więcej

ciebie

małego

i drzewo z ulicy w oknie

i niebo

Wtedy bardziej

niż kiedykolwiek.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
(Łódź)

SZCZELINA

— Więc pójdziemy raz jeszcze za wojenką za panią
Ulicami wytwornych miast stepowymi szlakami
Żołnierzyki chłopcy malowali
Na błękitnych łakach zakwitną rakiety
Ziemia zawyje krew się poleje

— Więc pójdziemy raz jeszcze raz jeszcze umierać
Malarz zabrany z kawiarni spalony w Oświęcimiu
Skrzypek utopiony podczas likwidacji lagru Stutthoff
Ogródnik rozstrzelany w sadzie za ukrywanie żydowskiego dziecka
Dziecko zaszczone psami za nie

*

Między życiem a śmiercią jest szczelina

Nieobeschły krajobraz
Przerwana melodia skrzypiec
Owoc stracony niedojrzały

Między życiem a śmiercią jest szczelina

Uśmiech dziecka które chciało pogłaskać czarnego wilczurą

JAN HIMILSBACH
(Warszawa)

ŻYCIE

Moje ręce
Są szorstkie i ciężkie.
Z takimi rękoma nie łatwo żyć.
A jednak trzeba... ciągle naprzód,
Przedzierać się i bić.
A tak by się chciało czasem,
Skrzyć gdzieś we wnętrzu naszych dni,

Niech biegają obok stuleciami.

A później z mroku wyjść,
W ogród zalany słońcem.

Dziś wykuwam fontannę,
Bo jestem kamieniarzem.

O, jakże ciężko jest
Z glazu wydobyć
Własny uśmiech.

Być może dzień jutrzejszy
Zastanie mnie z powieką martwą,
Ale ja będę żył.

Kiedyś, kiedyś,
Może za trzysta lat?
Przysiądą ludzie na zrebie fontanny,
A ona im będzie chłodem,
Ławeczką w cieniu,
Na drodze dalekiego marszu.

ANNA TARSKA

ZWIERZĘTA BIBLIJNE

BABA I ABA

Rzecz opisana w Księdze Królewskiej Starego Testamentu.

W pobliżu miasta Jerycho była pustynia. Nad brunatną pustynią toczyło się białe słońce. Piasek sucho drżwił, kiedy wiatry płaściły grzbiety wzgórz. Na brzegu pustyni rósł las, między drzewami o sztywnych liściach mieszkali niedźwiedzie, duże, kudłate i łagodne. Najłagodniejsze były dwie niedźwiedzice: Baba i Aba. Unikały nawet okazji, nawet możliwości konfliktu. Chocoby to, że miast podbierać miód z barci, mówić sobie: „Ach, zadowolił się nektarem kwiatowym!“ i chwyciwszy pszczołę, pazurami wyciągały zawartość jej koszyczków, a na pożegnanie gładziły skrzydełka, sapając ze wzruszenia Doprawdy, trudno o takłwsze niedźwiedzice niż Baba i Aba.

Pewnego razu siedł z Jerycha do Betel Elizeusz, znany prorok, stateczny, brodaty i łysy. Przed wyjściem uzdrowił za pomocą soli zgłnie wody jerychońskie i teraz wędrowało mu się zwawo, mimo kamyczków w sandałach i upału, który drżał w powietrzu. Idąc, rozmyślał, o czym by przy następnym spotkaniu rozprawić z Panem Bogiem.

— Hm, o Dawidzie? Zaiste, zbyt wiele nalożnie trzyma król Dawid i maluczek, nie będzie już zdolny procy ucieść, a głosu pańskiego nie usłyszy z powodu sennosci. Ale co

na to rzeknie Wszechmocny? Och, co rzeknie!... „Elizeuszu — zagrzmi — alboż to nie mam całego Izraela na głowie, z jego żonami, nałożnicami i dziećmi, z byłą Sodomą i dzisiejszym brakiem opamiętania, że ci się tu ciągle Dawidem odbija? O sprawie gadaj, o sprawie, nie trać czasu na plotki. System jest ważny, a nie z kim śpi jakis tam król, rozumiesz?“

„Rozumiem, Boże, i będę ci powiedział o systemie. Myślałem już przeciwie nieraz na temat organizacji. Bez organizacji upada najsłabsza inicjatywa. A ile cudów się marnuje... Boże Izraela, różne balwany pogańskie ni połowy takich nie dokonały, a jakież mają świątynie! Gdyby opodatkować na przykład cud dzisiejszy, wynikłaby zeń korzyść potrójna:

Pierwsze — woda zdrowa dla jerychończyków.

Drugie — przybytek wspaniały dla ciebie.

A po trzecie — ludzie, gdy muszą płacić, pamiętają długo, niezmienne długo za co płacą, i tym sposobem umacnia się ich pobożność.

Co do Dawida zaś...“

Prorok Elizeusz nie zakończył uwagi, bo spostrzegł, że pustynią biegnie za nim gromada uliczników miejskich, wrzeszcząc:

— Idźcie łysy, idźcie łysy...

Coś podobnego! Świątobliwy mąż obrócił się ku nim i wzbudzony krzyknął:

— Wy wiecie, kto ja jestem?...
Ale bachory darty się dalej, z
wielką werwą:

— Idźcie łysy, idźcie łysy!

Więc mruknął:

— Niechże was Pan Bóg skarże.

I zgodnie z relacją Pisma, natchnionym wybiegły z lasu dwie niedźwiedzice, a rozszarpały spośród złych dzieci czterdzięci i dwójce.

Potem on poszedł swoją drogą, znów oddany rozmyślaniom. Baba i Baba zaś siedziały na piasku we

własnych ogromnych cieniach. Drapiąc się po owłosionym karku powiedziała Baba do Aby:

— Siostrzo moja, niedźwiedzico, oto ku przestrodze potomnych kazał nam być młeczem w ręku Pana. Zobaczysz, że teraz już nikt nawet jednym słówkiem nie napomknie o słodyczy naszego charakteru.

Aba do Baby:

— Trudno. Tak właśnie traci się indywidualność na rzecz roli dziewczęcej. Chodźmy płakać w ukryciu.

Ż A B K A

lap, klap — mała zielona żabka w podskokach przebywała ścieżkę, zmierzając ku wielkiej drodze. Przy ścieżce rosła palma, pod palmą stał nagi, śniady chłopczyk. Wyjął palec z buzi i spostrzegłszy żabkę złapał ją.

— O, jaka jesteś ładna! — zawołał.

— Puść mnie — poprosiła żabka — puść mnie koniecznie.

— Dlaczego? — spytał chłopczyk.

— Przypuszczam, że pochodzisz z rodziny żydowskiej, więc ci wytłumaczę — powiedziała żabka — słuchaj uważnie! Dotychczas mieszkalam niedaleko stąd u twego wujcia w bardzo wygodnym, szklanym stoiku z drabinką. Przeprowadalabym chętnie pogodę, lecz w Gosen deszcz nie pada prawie nigdy — praca moja ograniczała się do utrzymania pogody ducha. Nie myślałam przy tym wcale o dalekich podróżach, póki mój pan nie oznajmił, że pragnie wraz z innymi Żydami opuścić Gosen i zawładnąć Ziemią Obiecana, na co nie pozwalała zły faraon. Bóg karze faraona różnymi plagami. Słyszałam, że

własnych ogromnych cieniach. Drapiąc się po owłosionym karku powiedziała Baba do Aby:

— Siostrzo moja, niedźwiedzico, oto ku przestrodze potomnych kazał nam być młeczem w ręku Pana. Zobaczysz, że teraz już nikt nawet jednym słówkiem nie napomknie o słodyczy naszego charakteru.

Aba do Baby:

— Trudno. Tak właśnie traci się indywidualność na rzecz roli dziewczęcej. Chodźmy płakać w ukryciu.

Ż A B K A

lap, klap — mała zielona żabka w podskokach przebywała ścieżkę, zmierzając ku wielkiej drodze. Przy ścieżce rosła palma, pod palmą stał nagi, śniady chłopczyk. Wyjął palec z buzi i spostrzegłszy żabkę złapał ją.

— O, jaka jesteś ładna! — zawołał.

— Puść mnie — poprosiła żabka — puść mnie koniecznie.

— Dlaczego? — spytał chłopczyk.

— Przypuszczam, że pochodzisz z rodziny żydowskiej, więc ci wytłumaczę — powiedziała żabka — słuchaj uważnie! Dotychczas mieszkalam niedaleko stąd u twego wujcia w bardzo wygodnym, szklanym stoiku z drabinką. Przeprowadalabym chętnie pogodę, lecz w Gosen deszcz nie pada prawie nigdy — praca moja ograniczała się do utrzymania pogody ducha. Nie myślałam przy tym wcale o dalekich podróżach, póki mój pan nie oznajmił, że pragnie wraz z innymi Żydami opuścić Gosen i zawładnąć Ziemią Obiecana, na co nie pozwalała zły faraon. Bóg karze faraona różnymi plagami. Słyszałam, że

wielbłądy, skrzypiały wozy ciągnięte przez muły; czarni, brązowi i brunatni ludzie szli w obłokach pyłu prześwietlonego słońcem. Na polu okoliczne kłado się masywne odbicie piramid. Woły i niewolnicy wprawiali w ruch kołowroty doprowadzające wodę. — Bolał mnie kolanka, czy nie mogłabym pojechać na twoim grzbiecie? — zagadnęła żabka jednego muła.

— Owszem — uprzejmie odrzekł muł i nawet schylił się trochę, brzękając ozdobami uprzęży.

Zabka usadowiła się wygodnie i opowiedziała muł wszystko. Muł jest zwierzęciem powolnym, nie dziwnego, że dopiero po długim namyśle wyraził pewne wątpliwości:

— Jak to sobie właściwie wyobrażasz, zostać plagą? Co będziesz robiła?

— Och, nie wiesz? Wszystkie żaby zrobią to samo: najpierw podskoczą, potem znów podskoczą, i znów, i znów... Wyżej i niżej, wyżej i niżej, wciąż i wciąż! Poza tym będzie nas dużo, bardzo dużo, okropnie dużo. Niezmiernie dużo, mówię ci... —

— Oooo... — zdziwił się muł, a żabkę nagle ogarnął niepokój.

— Czy nie jestem za ciężka? Może zbytino cię fatyguję?

— Nieee — pokręcił głową.

Aż do wieczora nie rozstawali się. Wieczorem, gdzieś w delcie Nilu, stanął Aaron i z polecenia Mojżesza przesuwał świętą laskę nad Egiptem. Bóg otworzył niebo, ziemię i wody. Mała, zielona żabka pojechała, że jej moment nadszedł, zdążyła tylko krzyknąć: „Zegnaj, muł!“ — i przepadła w mroku.

Miliard ropuch podrygiwał już na gładkich zboczach piramid, armia żab średnich opadała w pola. Żaby centkowane zajmowały domy, za-

by o złotych oczkach rytmicznie trzęsły się pośród dróg i bezdroży. Niewidoczni dobosze bębniłi w niewidoczne bębni. Rade, rade — intonowały zapiewały. Ludzie i bydło poddawali się owej młocie, ze strachu stuleni w kłębki. Słowa, szelesty, brzęki, gwar, hałasy, pieśni, śmiech, cisze ustąpiły na rzecz śliskich: — Chłup, chłup! Chłup, chłup! Kłapiemy — plum, plum! Kum, kum!... — W oddali dobrze strzeżony ziarnisty skrzek drżał zmieniając się w nowe żaby.

Ale oczywiście nikt nie miał czasu słuchać zwierzeń malej zielonej ochotniczki. Jak wiemy, chciała ona zostać plagą i teraz oto pokazało się, że nie bardzo potrafi.

Piramidalne ropuchy wycharzystały:

— Idź gdzie indziej, boś za drobną.

Oddział żab średnich nie przyjął jej z powodu barwy, dowódca turkusowych fuknął:

— Fu, fu! Chyba zagraniczna?

W jakimś glinianym budynku próbowała przylączyć się do gromady rdzawych, śluzowatych, łapkami ubijających masło ze śmietany, lecz odpedziły ją:

— Nie znasz taktu, nie znasz taktu!...

Aż do świtu hopsała samotnie na kwiecie nenufaru, o brzasku zmarznięta uciekała. Rano zjadł ją bocian, burknąwszy przedtem:

— Co, plaga egipska? Już odwołane. moja droga. już odwołane. — Rzeczywiście, uprzążano właśnie i palono całe stopy wykonawców moieżowego cudu. Zwalone jedna na drugą, brzuszkami do góry, wydawały się jednakowe.

A nazajutrz Aaron ogłosił plagę wszy.

JANUSZ LASKOWSKI
(Warszawa)
**BARBARA —
WYZWOLENIE**

A mówili przerożni durnie,
że już koniec klasowej sprawie,
że nie będzie umierał górnik
ni szpieg chodził z nożem w rękawie.

Gdy ci, iskro, na imię — wiersz,
w nienawiści gorej jak w tlenie
za podziemną górników śmierć
na kopalni Barbara — Wyzwolenie.

Prawem, pięścią trzeba ze zbiorem
ropiętą wypalić rumień.
Nie placz, pieśni chorowskich syren,
nad pochodem ludzi i trumien.

Nie zniżajcie sztandarów ręce
choćby czarne zwisają wstęgi,
nie potrzebne żałobne wieniec
ludziom, którzy rąbali węgiel.

Gdy ci, iskro, na imię — wiersz,
w nienawiści gorej jak w tlenie
za podziemną górników śmierć
na kopalni Barbara — Wyzwolenie.

MARIA SZYPOWSKA
(Warszawa)
K. I. GAŁCZYŃSKIEMU

Przeminiemy jak blask w oczach sowy
i jak płomyk świeczek choinkowych;

przeminiemy jak skrawek kałuży,
gdzie pływają dziecięce łódki;

przeminiemy jak latawca trzepot
zatopiony w wiosenne niebo;

przeminiemy jak garść ziemi, gdzie wsadzone
są goździki i czerwone pelargonie,

Przeminiemy jak wesoly ogień,
który ciepłem napelniał domy;

przeminiemy jak spiętrzone nury
z pracowitym obrotem turbin;

przeminiemy jak tleniu struga,
co ożywia martwiącące płuca;

przeminiemy jak serdeczny zagon,
gdzie jest zboże, a wyrosnie miasto.

Przeminiemy jak piorun miedziany,
który gruszę na miedzy spalił;

przeminiemy jak fala burzliwa,
która tamy zmurszałe rozrywa;

przeminiemy jak skrzydło wiatru,
co rozrzuca karty starych praw;

przeminiemy...
a trwać będzie nasz glob
wirujący, tętniący pod stopą.

Nowi ludzie, mądrzejsi i lepsi,
odnajdą nas w słowach twoich wierszy.

JERZY HARASYMOWICZ
(Kraków)
DZIEŃ MICHASIA

Rano Michaś
małeńki krasnoludek „Kichaś”
z cudowną latarenką radości
szuka skarbów. Michaś gości
gdzieś u kolan, krzesel wysokich
śnieżna broda obrusu
gorą leci, oblokami.

w południe, kiedy kaszki się naprzykrzają
w południe, kiedy dzwony tańczą
srebrnymi spódnicami, niebo zamiatają
Michaś —
te dzwony, słucha bogobojnie
... i palec wprowadza prosto
w gościa oko — dostojne...

A wieczorem, w łódeczku
Michaś ze ścianą rozprawia
śpiewa coś do niej cichutko
... koło Michasia kot pończoszki naprawia
igielką malutką...

RYBA

W 34 roku naszej ery
cały tydzień przed
Paschą był aż nadto
pogodny. Za dnia opad-
ała z nieba żar, co wy-
susza podniebienie
small skórę i maci myśli. Ludziom się
zdawało, że uliczkami Jerozolimy
płyną obłoki gorące, tu i ówdzie
wnikając we wnętrza budynków.
Góry żółtki w oczach, liście drzew
lśniąco metalicznie gbracały się ku
górze niwecząc cien. Noce spędzano
na dachach domostw lub przy od-
słoniętych drzwiach.

Żył zaś wtedy w Jerozolimie pe-
wien garncearz imieniem Amaz. Był
to mężczyzna trzydziestoletni, o cie-
le krzepkim, wzroku bystrym, wło-
sach rudych i krętych. Prowadził
się dosyć przykładowie, jeśli pominąć
zbytne rozmiłowanie we wdziękach
Noemi, niewiasty lekkich obyczaj-
ów, lubiącej pachnidła, na które
trzeba dużo pieniędzy.

Amaz spał zazwyczaj twardo,
bez zwiędzeń. Raz przysniło mu się
jednak, że dobrze sprzedał cały
swoją zapas naczyń i oto wręcza
Noemi alabastrowy słoik wonności.
Noemi wprowadza go do komnaty
wyslanej dywanem, prosi aby usi-
adł i zaczyna tańczyć. Muslinowa
jej sukienka jest przeźroczysta, piersi
mają kształt gruszek, pasmo wło-
sów muska jego policzek.

— O, ukochaną... — westchnął. i
zbudzwszy się stwierdził, że w
drzwiach stoi bardzo pijany żoł-
nierz rzymski, który z dokładną
ciężką prawdziwego legionisty Cezara
tłucze amazowe nadziejce.

Później, nie słuchając jęku: — O,
moje garniki!... — wojownik zato-
czył włócznicę wspaniałą tuk i znik-
nął. Na podłodze leżały skorupy
błyszczące od księżycy i gwiazd.

Następnego wieczoru udał się do
dzielnicy faryzejskiej i po krótkich
wahaniach przesadził mur ogrodu
samego arcykapłana. Rosły tam fi-
gi i oliwki, cyprysy i granaty, a
może również tamaryndy i rodo-
dendrony. Żadna z tych rzeczy nie
była jednak dość poręczna, żeby ją
ukraść, w domu zaś panował jeszcze
przedświataczny rozgardiasz.
Zniechęcony Amaz wycofywał się
już, kiedy nagle wśród gałęzi za-
migotała cysterna, zbiornik ka-
mienny, ani ładny po prawdzie, ani
szczególny. Lecz w środku pływala
ogromna, srebrna ryba.

— Nigdy jeszcze nie widziałem
takiej ryby — szepnął Amaz sam
do siebie i schylił się po nią. Wtedy
złapała go za ramię żona właści-

JÓZEF RATAJCZAK
(Poznań)

★ ★ ★

Wejść w dom mój niski
nieśmiałą stopą,
w ściany klejone
tanią tapetą —

w mój cichy kłopot
samotnych tęsknot.

Będzieś przed lustrem
poprawiać włosy,
zmieniać sukienki
wrociwszy z kina —

I ciepłym głosem
rozbudzisz syna.

ANDRZEJ BURSA
(Kraków)
POŻEGNANIE Z PSEM

Na szepł mój wielki leś się poruszył.
No, cóż, mój drogi — bieda.
Przykro mi bardzo, ale brak funduszy.
Trzeba cię sprzedać.

Już nie będę pod przewodem twoich czujnych uszu
Błął w puszczy matecznikach, wykrotach.
Nie będzie już puszczy,
Będzie park Jordana — pełen błota.

Ach, jakie ty miałeś skoki i szusy,
Jak szczałeś z łapy triumfalnym zadarciem,
Wiatr ploszył cię ogona białym pioropuszem,
Ale trudno, nie ma żarcia.

Ty dużo potrzebujesz, to wiadomo.
U mnie zawsze tragedia z groszem,
Zresztą straszny kłopot był w domu
Już pożarłeś czterech listonoszy.

No chodź tu, chodź, jaki poblysk wilczy
Czołga się ukradkiem w twoich ślepiach.
Gdyby moi przyjaciele umieli tak inteligentnie milczeć,
To by było mi o wiele lepiej.

Idź już leżeć. Nie warto płakać.
W życiu gorsze udręki będą jeszcze.
Ja kochałem nieodkryte nasze szlaki
I zmierzwioną sierść pachnącą deszczem.

BOŻENA GRABOWSKA
(Warszawa)

★ ★ ★

Dziewczynko z warkoczykami,
To ja kiedyś byłam tobą...
Nie patrz tak nieufnie na mnie,
Wiem, że ci się nie podobam.
Nie mogę cię prosić: zostań,
I cóż bym ci dała za to?
Stoję tak — duża i obca
Na skraju twojego świata.

Kiedy się z nim rozstałam, słonecznym i malutkim?
Jakże tak mogłam zgubić — kiedy, na jakiej drodze
Świat, jak narysowany zaostrzonym ołówkiem,
Wielką ciekawość oczu, bajechną długość godzin?
Wpatrzona w jutro, pod nogi nie patrząc
Biegłam ku niemu przez dziś bez pamięci,
Aż zobaczyłam, że ziemia się kręci
I wszystko miją — a nie nie powraca.
Skruszała żywiość wróż, Twarze ze wspomnień pierzchły,
Co było ważne — nieważne,
Czas przeszły.

Dziewczynko z warkoczykami,
Pozwól chwilę powstać obok...
Nie patrz tak nieufnie na mnie —
To ja kiedyś byłam tobą.

JANUSZ KONIUSZ
(Stalinogród)
SZOPEN W SULECHOWIE

Jadą konie od Babimostu,
w Sulechowie będą mieć postój.
Tu dla sily i dla ochłody,
wypiją cztery słągwie wody.
Stary kowal sprawdzi podkowę,
wjadą traktem na Kargowę.
Ej, wy konie, siwki i gniade,
poczekajcie, z wami pojedę.
Pojadę razem z Fryderykiem,
będę wioził pleśni i muzykę.

ciela, kobieta stara, rozczochna i
zła. Krzyknęła:
— Ty lotrze!
I nadbiegli śludzy.

Ponieważ w ubiegłym tygodniu
zginął świecznik z mieszkania sio-
strzenca Kaifasza, w pobliżu domo-
stwa Enocha padł wiedziony przez
niewolnika osioł, a bramę pałacu
Ilnotana opluł ktoś i uciekł. skaza-
no zatem Amaza i ukrzyżowano ja-
ko lotra złego po lewicy Jezusa
Chrystusa w wilię święta Paschy.

Działo się to na wzgórz zwanym
Golgota, co znaczy Trupia Głowa.
Ów Amaz właśnie wołał: „Jeśliś
Chrystus, wybawże i nas!” a także
inne zdania zapisane w Ewange-
liach. Wiskając, nie okazywał skru-
chy i tylko — choć nie gorszego
przytrafić mu się już nie mogło —
raz jeden zadrżał ze strachu. Nie
dziwny się. Wskutek poruszenia
ziemi nawet zmarli powyskakiwali
wówczas z grobów, strażnicy um-
knęli, ciemność zgęstniała niezwy-
czajnie.

A oto co nie zostało zapisane:
Ze wtedy krzyż lotra z lewej
upadł, a korzystając z zamieszania,
Noemi i jej służąca porwały ciało
Amaza, który nie skończył jeszcze.
Żołnierze powiesili dla niepoznaki
złotki wzięte z jakiejś otwartej
mogily, po czym zajęli się losowa-
niem szat pańskich. Sprawę zatu-
szowano.

Po kilku tygodniach Amaz w do-
mu Noemi wyzdrowiał i rzekł:
— Chwała Bogu, żyje. A gdyby
nie te zjawiska tektoniczne, ho...
Zapamiętaj, moja piękna: starczy
ryba wielokrotnie mniejsza, niżli tam-
ta, by czeleka uśmierdzić, jeśli to ko-
nieczne dla symetrii, albo ze wzglę-
dów estetyczno - wychowawczych.

Anna Tarska

EUGENIUSZ KABATC
DENUNCJACJA

Zeby się dostać do L., trze-
ba wysiąść na pustej, za-
pomnianej w lesie stacyje
W., a potem w jakiś spo-
sób pokonać dwudziestoki-
lometrową przestrzeń dzie-
lącą wieś od podobnego do borowika
budynku stacyjnego. Kto ma taką
okazję, dociera tam furką toczącą się
dziurawymi koleinami, inni, mniej
szczęśliwi, muszą zdać się na własne
nogi. Z cywilizacją wschodnią Biało-
stoczczyzna nie stykała się zbyt czę-
sto.

Pociąg dotarł do W. o zmierz-
chu. Wysiadłem pśpieszenie, prze-
widując, że swoją poażdę dla
tego dzikiego zakątka maszynista
okaże niecierpliwym szarpnięciem
pociągu. Nieprawda! Zdałem jak
przysłało na przybyśza z odległych
stron, postawiwszy walizkę obok
na niskim peronie, rozjeżdż się wo-
kół ciekawie i nieufnie, zdałem
chrzescząc butami po grubym zwi-



Rys. Barbara Kusak

rze podejść do czarnej czeluści
dwuprętowych drzwi — a pociąg je-
szcze ani drgnął. Oglądając się przez
ramię, widziałem wychylającego się
z parowozu maszynistę w powolnej,
rodzinnej rozmowie z małym czło-
wieczkiem stojącym na peronie. Do-
myśliłem się w nim „pana” na sta-
cyje W., a więc zawiadowcy,
dyżurnego ruchu i kasjera w jed-
nej osobie. Stał na krótkich, pałą-
kowatych nóżkach, opierając niedu-
żą przenośną drabinę o słup staro-
świeckiej, naftowej latarni. Nie pod-
rzucał krzykliwie słów do góry, do
swojej, uważnej głowy maszynisty —
podawał jej miękko, z godnością.
Niespiesznym ruchem podniósł dwa
palece do daszka zniszczonej kole-
jarskiej czapki i wtedy dopiero lo-
komotywa z sykłem otoczyła się gę-
słą jak wata para.

Przeszedłem szybko przez bardzo
ciemną salkę poczekalni i znalazłem
się na rozmaitym, piaszczystym
podjeździe. Nie było tu wiele wi-
dniej. Duży las stał tuż-tuż, wysoka,
gęsta ściana przesłaniając resztki
różowego zachodu. Dopoki jeszcze
w lesie huczał oddalający się pociąg,
wszystko było w porządku. Ale kie-
dy echa jego łoskotu przestały do
mnie docierać — poczułem się nie-
swojo. Było pusto, cicho i ciemno.
To wszystko.

Nie, nie wszystko. Byłem jeszcze
ja, zgubiony w świecie, i przede
mną dwudziestokilometrowa, nie-
znana droga do L. Przynajmniej,
świadomość taka nie mogła na mnie
wpływać budując. Postanowiłem
poszukać krótkonogiego „pana na
stacyje” i zorientować się w
możliwościach wynajęcia jakiejś
furmanki. Przecież w nocy po lesie
nie będę się szwendał! Byłem już w
drzwiach budynku, ale usłyszawszy
za sobą cichy szmer kroków, odwró-
ciłem się gwałtownie.

— Co panoczku, wy nie do
L.? — zwalysy chłep stał prze-
de mną przekrzywając pytająco
głowę. Z twarzy widziałem tylko
wasy długie i jasne, może siwe, zwi-
sające jak sopie lodu.

— Do L., do L. — odpowiedziałem
skwapliwie i odetchnąłem z ulgą.
Jednak pamięta! o mnie...

— Nu i dobre. Otworzymy świe-
tlicę z fasonem.

Powiedział tak jakoś „z fasuo-
nem” i od razu zapachniało kresami
i wschodem. Miła sercu miękkość
słowa napelnila mnie pogodą i spo-
kojem. Z ufnością oddałem mu wa-
lizkę i poszliśmy przez szele-
szący piasek pod czarny mur lasu.
Teraz dopiero spostrzegłem wymo-
szony słomą worek, zaprzężony w
nieduzego, grubego konika. Tu grunt
był twardszy a koleiny ubite.

Usadowiliśmy się wygodnie obok
siebie, mój opiekun wstrząsnawszy
lejącami powiedział „Aida, Kazia!”
— i konik prychając na dobrą dro-
gę pociągnął nas w zadrzewioną
ciemność. Wózek zaczął poskrzypy-
wać, a my bujałismy się nieregular-
nie raz w prawo, raz w lewo na
ukrytych w mroku dolach drogi.

— Leć tu można skrócić — po-
wiedziałem z satysfakcją, bo lubię
takie małe, w gruncie rzeczy pozor-

kiem w poklon, padli na twarz.
Czekali, ale nic się nie stało. A kie-
dy ośmielił się podnieść głowę,
obraz już wisiał na swoim miejscu.
A przecież, panoczku, w pobliżu ni-
kogo nie było. Sam się zawiesił. Ot,
jaki cud.

— A wścieł to widzieli, Maksym?
— Ja nie widział, ale są tacy co
widzieli. Taaaak. Co to dla świata
znaczy — trudno powiedzieć... Ale
cud był.

Poruszył zwisającymi wąsami, po-
prawil lejce i dodał już jakby do
siebie:

— By-yl.

I znowu ramiona lasu zbiegły się
przed nami pozostawiając jedynie
wąską szczelinę przecinki. Droga
biegła duktem niby ciemnym wą-
wozem, chociaż wierzchołki prawej
ściany jasniały rozwodnioną, białą
zieloną. Taki wieczór nastraja ser-
ce człowieka na wysoką nutę ro-
mantyczności, kaze myślom marzyć
lub wspominać. To co widzą oczy
nabiera cech tak nierealnych, że
z łatwością miewi i to, co czuje du-
sza. Atmosfera nieokreślonych obra-
zów dzieciństwa odurza jak narko-
tyk.

Maksym niedługo milczał. Wyrwał
mnie ze wspomnień gawędzeniem o
najbardziej aktualnych sprawach
wsi.

— Ot, panoczku, i świetlica na
przykład. Rzadka tu rzecz. Wokolo
na długie wiorsty takiej nie znaj-
dziesz. A u nas, czemu nie, będzie
świetlica. Zasłużył sobie na podzie-
kę pan nauczyciel, wiecie, ten co
was tu zaprosił. Złobimy otwarcie
fasoonisto. Przetniecie, panie, wste-
gę, a kapela zagra marsza. Już to
wszystko jest obmyślone. Ta-ak. Nu,
świetlica, dobrze. Ale i gorsze rze-
czy zapowiadają się. Nie, panoczku,
nie spółdzielnia. Na kolchozowe ży-
cie tak bym nie pysłkował, chociaż
i nie śpieszno mi do niego. Ale że
lotnisko chcą nieopodal budować,
to niedobrze. Aj, jak niedobrze. Ja
wiem, panie, co wy chcecie powie-
dzieć. Że przecież ludzie do roboty
pójdą, że dobrze zarobią, że może
elektryka przedzej będzie, że świat
się do nas przybliży. No pewnie, to
złe nie jest. Ale są i rzeczy paskud-
ne. Bo przecież w tym świecie, co
się do nas przybliży to nie wszystko
jest tak jak należy. Jak młodzi nie
zerhca na ziemi siedzieć — też na
dobre wsi nie wyjdzie. A takie no-
we, tego, fanaberie, różne paskud-
stwa w głowie, to dobre?

Nie rozumiałem, o co tu Maksy-
mowi chodzi i wyraziłem głośno
swoje wątpliwości.

— Nie pojmujecie? Wia, Kazia! —
wstrząsnął lejącami. — Nie śpij, cze-
cina! A pan nauczyciel mówił, że
w książkach siedzicie, że sami pi-
szecie do gazet, że na duszy ludz-
kiej się znacie. Co tu jest rozumieć.
No ale... Wiecie, panoczku, mnie tu
wszyscy bajazdem nazywają, że ni-
by zmyślałem różne dziwaczne hi-
storie. To i dla przykładu wam jed-
ną taką opowiem. Bo ja sobie zmy-
ślałem, zmyślałem, ale czasem to już
tak w tym wszystkim się zakłótuje,
że oddechu mi nie dostaje, i nie
wiem, w którą stronę się obrócić.
Jak wilk w leśnych ostępach, kie-
dy go naganiać osaczają ze wszyst-
kich stron... Jeśli naprawdę na ludz-
kich duszach się znacie, to zbaczy-
cie, jakie to zło wielkie a i pomo-
żecie pewnie jakoś temu zaradzić.
Bo ja już, dalibóg, durnieję!

Była w jego miękim, śpiącym
głosie taka wielka i chmurna bezrad-
ność, że z zdumieniem zajrzałem
mu pod wynieciony kapelusz. Osa-
dzone głęboko oczka zamigotały
szybko, szybko — może to było
zmieszanie? — i zmrużyły się nied-
bale.

— Zsiądźmy trochę! — powiedział
zniebaczka. — Bo tu piasek jak wo-
da, do osi wózu zalewa.

Z wirującym światłem w głowie
— tak mnie nieludsko wytrzęsło —
szedłem po sypek, rozfolowanej
powierzchni trzymając się wozu. W
moich półbutach całą resztę niewy-
pełnionego nogami miejsca zajął
piasek. Wlewał się złośliwymi stru-
kami istotnie niby woda. Z podzi-
wem oglądałem rzadkie księżycowe
grymsy, które zjeżdżając na nie-
ziemskich smugach przez dziury w
świeczynie kładły się na jasnym
piasku jak postępowe fantazyjne
liście, i zapewniam Maksyma, że
wprawdzie na duszy człowieczej
niewiele się znam, ale opowieści je-
go wysłuchałem z nieklamany za-
interesowaniem.

Maksym nie zaczął jednak, nim
nie wydosłaliśmy się z grząskiej
rzeki piasku na twardszy grunt i
nim — rozgarzani niewygodnym mar-
szem — nie uložyliśmy się zasłuże-
nie w miękkiej kołysce wozu. Pa-
pięrośna nie odmówił, ale i nie zapa-
lił go, odkładając do drewnianego,
rzeźbionego pudełeczka z wyjaśnie-
niem, iż ta wata i ściółka w lesie
wysychy jak machorka i nie daj Bo-
że zaproszę gdzieś to ogień. Zapy-
tał, czy widziałem kiedykolwiek po-
żar lasu. Pokręciłem przecząco gło-
wą, Maksym odkiwnął mi mądre
tatarskim wąsem i wygłosił senten-
cję o całkowitej zberności kuszenia
lichu. Zgadzając się z nim w zupeł-
ności, a szarpnięta lejącami dość le-
niwa kobyłka któryś raz z rzędu
próbowała bezskutecznie przejść do
truchtu. — Zakurczymy na łąkach —
zapropomował Maksym i propozycja
była nie do odrzucenia.

(Dokończenie na str. 7)

książki • książki • książki • książki • książki • książki

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Wiedeńska dyskusja

Obiecujący debiut



Ludwika Woźnicka: Ocalenie. Opowiadania. Wyd. „Iskry” 1954.

Ludwika Woźnicka zwróciła moją uwagę opowiadaniem „W Poradni”, które usłyszałam czytane przez autorkę na zebraniu połączonych Sekcji Prozy i Poezji ZLP, poświęconym twórczości młodych. Treścią utworu są dwa prześluchania w Poradni Psychologicznej przy Sądzie Dla Nieletnich. Z pozoru mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju reportażu. Autorka pracowała w takiej poradni jako studentka i zanotowała w swoim utworze fakty, postacie i dialogi niewątpliwie autentyczne. Autentyczność przedstawionych faktów, jak wiadomo, nie podnosi jeszcze pisanego słowa do rangi utworu artystycznego. Starsi ludzie naszego pokolenia pamiętają dobrze słuszną walkę, jaką staczał Irykowskij z tzw. autentyzmem w literaturze. Dziś zwiemy, że walka z naturalizmem, ale mniejsza o nazwy. Każdy doświadczony pisarz wie doskonale, że autentyczne wydarzenia mogą nie być prawdziwie artystyczne. Każdy doświadczony pisarz (nawet jeżeli to jest autor tematów „fantastycznych”) wie zarazem, że nie z tego, co tworzy, nie będzie prawdziwie artystyczne, o ile nie będzie oparte na rzeczywistych elementach autentycznego życia, czy — szerzej mówiąc — bytu. Ową pozorną paradoksem tłumaczy się przez proste stwierdzenie, że pisarz-twórca to człowiek obdarzony umiejętnością artystycznego wyboru i między nastrojami, które są rzeczywistymi szczegółami życia. Niezliczona ilość zaobserwowanych czy doświadczonych „autentycznych” faktów to dla niego materiał, z którego — podobnie jak murarz ze stosu gliny, wapna i cegieł — potrafi on nieomylnie wybrać to, co jest najodpowiedniejsze dla jego twórczych zamierzeń. Po wysłuchaniu, a teraz po przeczytaniu opowiadania „W Poradni” doszedł do wniosku, że młoda Ludwika Woźnicka posiada tę zdolność artystycznego wyboru decydującą o jej przynależności, a przynajmniej rokującą nadzieję na jej przynależność do świata pisarzy, jak to się mówi, z prawdziwego zdarzenia. Tom jej dzieł, który opowiadał wydany pod tytułem „Ocalenie” przez Instytut Wydawniczy „Iskry” zdaje się potwierdzać to moje przekonanie. Pierwsze opowiadanie tego zbioru (zawierającego również scenkę „W Poradni”) pogłębia nawet moją dotychczasową pobieżną opinię, ukazując dwie nowe cechy prawdziwego pisarza, właściwe Ludwice Woźnickiej. Pierwszą z nich jest, ujawniona w tym opowiadaniu noszący tytuł: „Jeden krótki błysk”, zdolność do skrótu artystycznego. W małej scenie, z pozoru rodzajowej, potrafi Woźnicka uważnie

mu czytelnikowi pokazać „w jednym błysku” groźne perspektywy społeczne i moralne. Drugą jest styl i język utworu, ten styl niemal protokolarny, który zdaje się być zapowiedzią nowej klasyki naszych czasów. Ludwika Woźnicka oszczędnie posługuje się metaforą; w opowiadaniu „Jeden krótki błysk” znalazłam tylko jedną przenośnię i jedno porównanie (zresztą nie najświeższe). Metafora należy do znakomitych „figur” stylistycznych i słuszenie zrobiła zarówno w prozie jak w poezji wielką karierę artystyczną nie mówiąc o jej rozległym „prawie obywatelstwa” w mowie potocznej. Metafora jest w literaturze najcenniejszym środkiem wyrazu na nurtujące nas poczucie tożsamości czy jednorodności bytu w jego najbardziej rozmaitych przejawach. Lecz tę rolę spełnia jedynie metafora bezbłędnie trafna. Taką doskonałą metaforą posługuje się tylko pieśń i poezja ludowa, posługując się nią czasem wielcy pisarze. Czytając utwory naszych młodych dzisiejszych autorów, ze zdumieniem stwierdzam rażącą nie trafność ich metafor i porównań, które zamiast dawać rewelacyjne odkrycie tożsamości dwu porównywanych czy zastępowanych jedno przez drugie zjawisk, dają tylko metne i niekomunikatywne zaciemnienie, a nawet zabrudzenie tekstu. Osobiście w mojej twórczości staram się używać metafor bardzo skąpo i za lepsze z moich utworów uważam te, które ich mają jak najmniej. Zwiastując, że metafory zdolne przetrwać swój czas są bardzo rzadkie; natomiast klasyczny styl „protokolarny”, jak o tym zaświadczyli i dzieła starożytnych, i wiele z najlepszych dzieł późniejszych, ma większe szanse pozostawania zrozumiałym dla wielu pokoleń. Toteż spokojniejsza jestem o los pisarzy młodszych, u której, jak u Woźnickiej, postrzegam oszczędność w szafowaniu metafor. Na zakończenie dodam, że reszta opowiadań zbioru Woźnickiej (z tytułowym opowiadaniem „Ocalenie” na czele) jest niezłym przykładem na to, jak można się poruszać stosunkowo swobodnie w obowiązujących dziś konwencjach literackich. Wedle tego, zresztą, co powszechnie wiadomo, konwencje literackie istniały i obowiązywały zawsze. Tworzone były od wieków — w ścisłej zależności, choć by śmiało o tym wątpić, od warunków społeczno-gospodarczych — przez wypadkową inspiracji pisarzy, gustów publiczności i potrzeb mecenasów. Dziś mamy konwencje literackie stworzone przez polityków ściśle według zasad wielkiej doktryny. Ale i dziś interesujące jest nie to, jakie karby narzuca (nie siła, oczywiście) konwencja, lecz co dzielni pisarze potrafią w jej ramach stworzyć dobrego. Najsztywniejsze konwencje literackie minionych czasów nie przeszkodziły powstawaniu arcydzieł, stanowiły tylko niekiedy utrudnienie, które w miarę potrzeby i odkrywczej siły geniuszów pisarskich przekraczano albo łamano. Otóż można powiedzieć, że i poza omówionymi tu dwoma opowiadaniem Ludwika Woźnicka, trzymając się mniej więcej konwencji dziś propagowanej, dała w swym zbiorze utwory — nie bezbłędne, ale takie, w których nasza współczesność technicznie żyłemu i nawet pełnym uroku żarem. A to już dużo.

Maria Dąbrowska



Leszek Prorok: Krewniacy. PIW 1955, str. 211, cena zł 6,40.

Gładkie, poprawne, niewątpliwie szlachetne w intencjach opowiadania Leszka Proroka budzą jednak różne sprzeczki, nie zawsze pozwalają solidaryzować się z postawą autora. Nawet historia pana Seweryna Laszcza — bohatera tytułowej noweli „Krewniacy”, człowieka starszego już, którego szczęście rodzinne zniszczyła wojna i który odkrywa na nowo sens życia dzięki uratowaniu przez siebie dziecka — historia pełna jakiejś przystępnej, humanistycznej afirmacji życia, napotyka na opór w recepcji czytelnika. Jest to w pewnej mierze przynajmniej rezultatem jakiejś fałszywej stylizacji, karykaturalnej kłopotliwosti, włączającej p. Seweryna w skórę jakiegoś „strasznego dziadunia” o złotym sercu. Na tej samej zasadzie przypada się solidnemu, pełnemu zapawu do nauk medycznych studentowi Frankowi Wiazło uszy kiplingowskiego słoniaka i w tym samym celu wprowadza na scenę robotniczą rodzinę małej Lucynki, której przedstawiciele poruszają się z gestami aktorów orodnawiających farsy.

Zarówno w tym opowiadaniu jak i w innych jest jakaś niebezpieczna maniera prymitywizowania spraw i konfliktów ludzkich. W stosunku Leszka Proroka do kreowanych przez siebie postaci jest coś z pobłażliwością dorosłych opowiadających o „artypowalnych” zmartwieniach czy ogromnych radościach swoich dzieci. Czasem manifestuje się to w jakiejś łatwej pogodzie, tanim optymizmie, który chroni autora od poważnego zmierzania się z rzeczywistością psychologiczną czy społeczną, od pełnego trudu pisarskiego. „Białą łaskę” zaczęłam czytać z zainteresowaniem. Monolog niewiedomego o jego wizji świata pracownice utkane z dźwięków, głosów, szmerów, wrażeń dotykowych i innych, odbieranych za pomocą zmysłów, o których milczy fizjologia i których istnienia nie przeczuwają nawet ludzie oglądający świat zdrowymi oczyma, świadczą o wrażliwości i wyobraźni.

Ta jednak opowieść „o sobie samym” starego strolacza fortepianu, całkowicie pogodzonego z losem i kontemplującego świat z francuskańskim zachwytem, i tak nadto pastelowa, okraszona została przez autora ewangeliczną przypowieścią o złym chłopcu, który oczywiście zrozumiał swój błąd i poprawił się. Nadaje to opowiadaniu nieznosny ton czytanki umoralniającej. Założona historia Helenki Matyski opowiedziana w „Wiecej światła”, śpięta podwójną kłamką społecznikowskiego tytułu i melodramatycznego zakończenia, operuje jakimiś plakatyowymi środkami wyrazu. Czytelnik godzi się oczywiście z publicystycznymi założeniami autora, domagającego się ustawy o obowiązku kształ-

cenia powszechnego dla niewidomych. Helena pada ofiarą braku odpowiednio rygorystycznych zarządzeń Ministerstwa Oświaty, skąpstwa i bezduszności ojca, ale także braku wyrobienia społecznego dyrektora zakładu i niedoświadczenia gminnej komórki organizacji partyjnej. I tak bohaterka opowiadania, która mogłaby być postacią tragiczną, wygląda trochę na osobę „pechową”, a jej los, pesymistycznie zdeterminowany przez autora, zamiast moralnego protestu wywołuje pomieszczone uczucie litości i irytacji. „Bunkry” — opowiadanie o sierżancie Adamczyku, który stracił wzrok na wojnie, nie prowokuje do polemiki z autorem, nie budzi zastrzeżeń, ale też jest coś w samej konwencji kompozycyjnej czy też w narracji, co sugeruje, że jego najwłaściwszym miejscem byłby wypis szkolny.

W „Willi Waldmieden” poddał Prorok swoje pióro noweliści najostrożniejszej próbie. Z trudności, jakie nasuwa problem repolonizacji, z obowiązku psychologicznego pogłębienia postaci nie udało się autorowi wyjść zwycięsko. Sprawy te zostały zaledwie pokwitowane. Świadomość Elzy nie odrywa w jej przemianach decydującej roli, wszystko dzieje się niejako administracyjnie. Tendencje symfoniczne autora i tutaj doszły do głosu. Elza nie wiele rozumie, tkwi gdzieś na marginesie głównego nurtu życia i z radością zaspokaja długo hamowane instynkty i apetyty. Jej partner, marynarz Bernard Pawelec, obiecywał, amator łatwych sukcesów miłosnych, nie cieszy się także sympatią czytelnika, żrała między innymi swoim komercyjnym stosunkiem do planowanego małżeństwa. Przeciwnie, tępawa Elza, podstarzała eks-„donzuan” Pawelec i dosć nieznośna w swojej wścibskiej ciekawości para sąsiadów — oto galeria postaci tej noweli, reprezentująca środowisko robotnicze.

Ta sama maniera, a może fałszywe wyobrażenie inteligenta o jakiejś „inności”, obojętne psychicznej Magryzków, Remiszewskich i Kulczyckich, zmąciła obrazek „Kombineza”, humanistyczny w treści, zaczepnięty wprost z naszego współczesnego życia, spłaszczyla i wykoślawiała postaci.

„Gorliwość” — to jeszcze jedna satyra na bezduszność i biurokrację naszych urzędników, urozmaicona kolorystem lokalnym Wrocławia zaraz po wyzwoleniu, gdzie niewystarczający aparat administracyjny ścierał się z bandami rozzuchwalonych „szabrowników”.

Na zakończenie kilka słów o „Wodewilu dyrektora”, trochę może zbyt rozwekłym jak na humoreskę, ale zakończonym dość zabawną pointą. Wprawdzie blakają się tu cienie wielokrotnie powielanych czechowowskich urzędników, „klasyk” już sekretarek z naszych wojennych komedii i schematycznych pozytywnych młodych ludzi, ale zasadniczy konflikt został naprawdę dobrze podpatrzony, jest jakiś rzeczywisty i nienaciągany.

Wydaje się, że wydawnictwo zrobiło krzywdę autorowi pozwalając mu przedwcześnie debiutować. Skoro jednak tak już się stało, najgorzej rzecz byłoby przemilczeć tomik. Może ten pedantyczny dosyć przegląd wszystkich opowiadań, skrupulatne wytykanie niedociągnięć i może niejednokrotnie zbyt surowe uwagi pomogą autorowi w dalszej pracy.

Krystyna Nastulanka

To bardzo trudne dla mnie zadanie zdać sprawę z tego co widziałam a zwłaszcza z tego co słyszałam na kongresie PEN-Clubów w Wiedniu. Szczyty literatury światowej zebrały się na tym improwizowanym Parnasie, by dyskutować o teatrze. Pisarze z Francji i z Jamajki, z Włoch i z Afryki Południowej, z Anglii i z Grecji, z Egiptu i z Węgier, z Indii i z Niemiec, z Polski i z Australii umieli rozmawiać w zgodzie i wzajemnym zrozumieniu. PEN-Club jest bowiem organizacją ponadpartijną, nie zajmującą się zupełnie rozważaniami politycznymi. Takie są idee zawarte w jego Kartach, przestrzegane i podkreślane przez wszystkich członków, taka jest najdawniejsza tradycja PEN-u. Nic dziwnego, że podczas uroczystego otwarcia Kongresu padły z ust członków przedmowy słowa o duchowym braterstwie.

Rozejrzałam się po sali „Josefstadttheater”, gdzie odbywał się posiedzenie inauguracyjne. Pisarze,

Braterstwo duchowe, o którym wspomniano w pierwszej godzinie Kongresu, nie powstało dziś. Sofokles był bratem Szekspira, Dante był bratem Rollanda. Ziarno talentu dostrzeżone w dziele innego pisarza, wdzięczność za tak celne wyrażenie świata stwarza pomost między pisarzami wszystkich czasów i wszystkich szerokości geograficznych. Dlatego zjechali się tu, by mówić z sobą, by poznać swoje myśli, dlatego siedzą obok siebie André Chamson i Jan Paradowski, Elmer Rice i Wacław Rzeżacz, Denis Saurat i Bodo Uhse, Gustaw Morcinek i Franz Carl Weiskopf.

W tej pierwszej godzinie Kongresu pojął, jak wielka to rzecz — zwłaszcza dla nas, autorów pokolenia powojennego — móc słuchać przemówień wygłaszanych przez artystów pióra, którzy wszystkie siły poświęcają walce o najwyższe ludzkie wartości.

Właśnie na scenie podniósł się mężczyzna o srebrzystych włosach, wysoki i szczupły. Oparł czubki palców o tekst leżący przed nim na



Autorka w rozmowie z Arnoldem Zweigiem

którzy byli dla mnie dotąd symbolem, nazwiskiem i tytułem dzieła, pochylali się teraz w krzesłach zasłuchani, ciekawi słów padających ze sceny.

Arnold Zweig uśmiecha się lekko, niemal bez udziału rysów, samymi oczyma, jak na fotografii znanej mi z „Nowej Kultury”. Dojrzała mądrość i wielka, gorąca miłość promieniają z kart jego książek. Szczególnie „Topór z Wanseebeck”, powieść z okresu, gdy życie było deplane i miazdzone przez hitlerizm, jest ową mądrością i umiłowaniem urwku istnienia na wskroś, po mistrzowsku prześwietlona. Dziwne. Nie znam Hamburga, a jednak po lekturze „Toporu” miasto to stało mi się bliskie i drogie.

Dalej siedzi pani Margarete Beatrix Zweig, żona pisarza, kobieta wyróżniająca się zachowaniem znakomicie ludzi cichych i delikatnych, ale nadzwyczaj bezpośrednich.

A ten pan, którego czoło wieńczy grzywa siwych włosów, czyż nie jest autorem interesującej sztuki „Cezars Witwe” granej właśnie w Wiedniu? Tak, to Franz Theodor Csokor. Jego biografia nie jest nam obca. Nie mogąc się pogodzić z reżimem hitlerowskim opowiadującym wówczas Austrię pisarz uciekł do Polski, gdzie aż do wojny znalazł schronienie i gościnę. Hitlerizm, czas pogardy dla człowieka, osiągnął wielu pisarzy, wzbudził ich najgłębsze oburzenie i sprzeciw.

Oto Maria Pujmanowa, która z męską siłą potrafiła przedstawić proces o podpalenie Reichstagu i powtórzyć na kartach książki tamte groźne akordy poprzedzające drugą wojnę światową. Kobieta waga i drobna. Znalazła jednak w sobie wytrwałość i moc, by powstać przeciw zbrodniczemu systemowi i powiedzieć: NIE! Umacnia się we mnie przekonanie, że pisarz wszystkich czasów jest pisarzem swojej współczesności. Walczy o nią albo przeciwko niej, w zgodzie z własnym sumieniem. Nie wszyscy naturalnie myślą i piszą w sposób, który by mógł być przyjęty przez czytelników całej kuli ziemskiej bez zastrzeżeń. Ale dyskusja między pisarzami, którzy reprezentują różne światopoglądy spowolnia się na kongresach PEN-u, swobodna wymiana myśli, krytyka postawy moralnej, najostrożniej prowadzona szermierka słowa — to drogi poszukiwania wodę do odpowiedzi na pytanie: która z prawd jest prawdą godną tego, by pisarz uczynił z niej swoje credo.

Jerzy Janicki

(Dokończenie na str. 7)

Młodzi ludzie i morze

(Dokończenie ze str. 3)

różnica, że w Ryszardzie P., wyczuwa się w każdym geście, w każdym słowie, olbrzymią pasję przygód, hazardu. Miał w sobie coś ze współczesnego Kmicica; takiego podkomendni muszą ubóstwiać i tak zresztą działało się z załogą trawacza. Ryszard P. jest zbyt młodym człowiekiem, aby nie zależało mu na imponowaniu innym. Kiedyśmy stali w dryfie oczekując aż okręt flagowy wytyczy pływakami rejon przeznaczonego do wytrawiania, była chwila wypoczynku, wyniesiono więc karabinek, z którego strzelaliśmy do starych żarówek wyrzucanych za burtę. Strzelali bosmani i chorągwi; dokładnie mierzili wodzą muszką za podskakującym na fali łbem żarówki. Jaki celowali jeszcze dłużej i nie muszę dodawać, że być może trafiłem którego z ogłupiałych tu pukanków dorysów, co zresztą byłoby jedynym czynnym protestem wobec tej ryby. Za to Ryszard P. nie mógł sobie odmówić strzelania z jednego ramienia, bez podwórki, jak z pistoletu: żarówka przysła jak bańka. Nie miałby dwudziestu trzech lat, gdyby nie lubił takich efektów. To jasne. Jak troskliwie jednak i uważnie trzeba było opieki przełożonych, jak mądrych metod wychowawczych, aby gorący temperament młodzieńca z miasteczka Miawy, pchnąć we właściwym kierunku. Nie wymieniono mi go jako najlepszego z produkujących wodocistów trawców; w każdym razie jako wzorowego i odważnego. Miałem później okazję przekonać się, że młodzi oficerowie, ludzie różni od Ryszarda P. usposobieniem, wiekiem i doświadczeniem, charakteryzują się jedną, wspólną cechą:

głębokim umiłowaniem morza, spraw morskich i służby wojennomorskiej. Tkwi w nich głębokie przekonanie odpowiedzialności, że to właśnie na ich barki złożył się ciężar opieki nad pięćsetkilometrowym wybrzeżem, nad spokojnymi polowami rybaków z Ustki, nad zielonymi bulwarami Szczecina i pracą dźwigów i ludzi Gdańskiej Stoczni.

Sądzę, że rola dowódcy okrętu, szczególnie młodego dowódcy, nie należy do najłatwiejszych. Już choćby dlatego, że prócz wyszkolenia żaglowi, trzeba być aktywnym uczestnikiem ich codziennych spraw, trosk i zmartwień. Okręt po odbiciu od brzozy to odrębne, małe społeczeństwo. Zwierzchnik w biurze czy fabryce po załatwieniu aktualnych spraw, jedzie do siebie do domu. Zwierzchnik na okręcie przebywa z podwładnymi dzień i noc. Wydaje mi się to kapitalną sprawą z dziedziny socjalistycznej moralności, pojęcia koleżeństwa i przyjaźni. Trzeba mieć dużo wycucia i umiaru, aby grać ze starszym marynarzem w meście w szachy lub opowiadać sobie kawały, a w pół godziny później rozkazać starszemu marynarzowi wyszorowanie zeny. I starszy marynarz wie, że czas rozrywki skończony, odpowie przejętym głosem:

— Jest wyszorować zenę!

Tego dnia byłem świadkiem jak po beztroskim strzelaniu do żarówek, Ryszard P. zarządził alarm bojowy. Z marynarzy sypiał po strumieniami. Było to ćwiczenie porzuczonego ataku nieprzyjaciela. Dowódca wymyślał awarie steru, awarie silników, do zeny kazał wpuścić wodę, a na dziobie i ru-

bie podpalono dwa wiadra ropy. Kiedy marynarze dość łatwo i szybko wypompowali wodę z zeny, Ryszard P. zarządził uszkodzenie pomp mechanicznych i trzeba było brać się za ręce. Sanitariusze znosili na noszach „rannych”. Nawiasem mówiąc w czasie takich ćwiczeń rannym najczęściej bywa artylerzysta Mieczysław Kwitek. Waży on 89 kilogramów, toteż sanitariusze nie mają złudzeń co do swych prawdziwych, nielekich obowiązków.

Jakoś na godzinę przed zakończeniem ćwiczeń, niebo poszarzało, morze zmarszczyło się, a potem zaczęło po pokładzie ciężkie kropie deszczu. Przywdzialiśmy peleryny i sud-westki. Sygnalista Tadeusz Jaworski, który dotąd porozumiewał się z sąsiadnim trawcem sygnalizacją flagową, przeszedł do obsługi reflektora. Tajemnicza i niecząca jest ta niema rozmowa marynarzy. Kilka machnięć w powietrzu flagami lub kilka mrugnięć reflektora, to całe, drugie zdania. Z okrętu flagowego „mugano” do nas, że przechodzimy z zryku czołowego na torowy. Później gwizdnęła jedyna z tub i drugi sygnalista doniósł:

— Radzik odebrał meldunek. Wracać do portu.

To przyszła droga radiowa.

— Jak ma na imię Radzik? — spytał dowódca.

— Balkiewicz Stefan.

— To jest ich tam w kabine dwóch: Balkiewicz i Radzik? A Radzik jakie ma imię?

— Mówię przecież Stefan. Stefan Balkiewicz — dowódca przyjrzał mi się uważnie i nagle pojawił się nieporozumienie, zaśmiał się ubawiony — Radzik to skróć — radiotelegrafista. Tak my mówimy.

I długo jeszcze oparty o ściankę bojowego pomostu śmiał się, bly-

Z życia ZLP

Literackie Dni Olsztyńska

Rok 1955 rozpoczął się na Warmii i Mazurach wydarzeniem, którego skutki będą miały doniosłe znaczenie dla galszego rozwoju życia kulturalnego tej ziemi. Wydarzeniem tym jest pierwsza Sesja nowowybranej Wojewódzkiej Rady Narodowej, odbyła w dniu 29 stycznia br. w Olsztynie. Najdłuższy organ terenowej władzy ludowej po raz pierwszy w okresie naszego dziesięciolecia poświęcił swoje obrady sprawom kultury, jej dalszemu rozwojowi na tej ziemi, tak ciężko w latach niewoli doświadczonej i drogiej sercu każdego Polaka.

Jeden rok dziesięciolecia, rok 1952, odegrał na Warmii i Mazurach wyjątkową rolę. W tym roku odbyły się na pograniczu dwóch województw, olsztyńskiego i białostockiego, piękne uroczystości zorganizowane przez ZLP dla uczczenia pamięci najwybitniejszego poety mazurskiego Michała Kajki. Wbrew krzykom genbełskowskiej propagandy sławiciele triumfu sili nad prawem, Kajka do ostatnich chwil swego życia ani na moment nie stracił wiary przetranszowanej z pokolenia na pokolenie, z Polski do Polski i skrzywdzone swe dzieci przetrwały do matczynego serca, uwolnił od krzywdy i ułaski, prz., wróci ludowi należne mu prawa.

Uroczystościom kółkowskim towarzyszyła decyzja Zarządu Głównego ZLP o

przyjęciu żyjących pisarzy ludowych Warmii i Mazur na członków tej organizacji. Ta śmiała decyzja przywracająca zasługom bojowników o polskość tej ziemi wiarę w użyteczność ich w nowej rzeczywistości, stała się punktem wyjścia do szeregu dalszych poczyną.

Mówi o tym szereg faktów, w jakie obłątło życie kulturalne na Warmii i Mazurach trzech ostatnich lat. Po roku 1952 bowiem potrafi się tu liczyć oddziałów polskich towarzyszt naukowych. Wychodzi wiele prac naukowych, powieści i utworów poetyckich związanych tematycznie z ziemią warmińsko-mazurską. Serię wydawnictw rozpoczynają „Pamiętniki Ludowe Mazur i Warmii”, stanowiące częścią wielkiej pracy Państwowego Instytutu Sztuki, dzięki której ocaliliśmy od zapomnienia i przywróciliśmy polskiej kulturze ponad trzy tysiące tekstów i melodii kuriantów warmińskich i mazurskich traszek.

W roku 1953 ukazują się wydane przez „Pax” Poesie Warmii i Mazur zawierające ponad 100 utworów poetyckich Zieleni, Langoskiego, Ruczyńskiego i Siłwy. Utwory te są nie tylko ilustracją twórczości wymienionych poetów warmińsko-mazurskich, ale i świadectwem walki ludu polskiego na Warmii i Mazurach o prawo do życia i o zachowanie na-

szej kultury. Autorzy wierszy zdają sobie dobrze sprawę z tego, że wydanie ich utworów w osobnej książce było możliwe dopiero w Polsce Ludowej. Zł. źródło, w dniu 15 lipca 1955 roku. W konstytuującym zebrań członków nowego Oddziału wzięli udział: Przewodniczący WRN Julian Maiewski, Sekretarz KWZPZR Michał i Frank, wiceprezes Zarządu Głównego ZLP St. Rydzard Dobrowolski, sekretarz Prezydium Zarządu Głównego, Jan Giesges, oraz koledzy z innych Oddziałów i zaproszeni goście.

Przesiem uowopowstałego Oddziału został wybrany Michał Lengowski, jego zastępcą W. Gęblik, sekretarzem Jarusz Dymowski i skarbnikiem Teofil Ruczyński.

Zorganizowane z okazji powołania Oddziału ZLP „Literackie Dni Olsztyńska” cechowały spotkaniem z ludnością warmińsko-mazurską w powiatach: olsztyńskim, ostródzkim, lidzbarskim i mrągowskim. „Dni” zakończyły się dużym spotkaniem z ludnością Olsztyńska, w którym obok członków Zarządu Głównego i Oddziału Olsztyńskiego Poznańskiego, wzięli udział serdecznie przez ludność witani, przybyli na Festiwal sekretarz Związku Pisarzy Syryjskich Schaouki Bagdad, autor zbioru wierszy wydanych pt. „Wielki nie jedno serec”, oraz antologii poezji arabskiej.

W roku 1953 powstał w Olsztynie z inicjatywy Zarządu Głównego ZLP Klub Literacki, z którego po dwuletniej pracy

wyonił się Oddział Związku Literatów Polskich. Uroczystość powołania do życia Oddziału ZLP w Olsztynie odbyła się w 345 rocznicę bitwy pod Grunwaldem, w dniu 15 lipca 1955 roku. W konstytuującym zebrań członków nowego Oddziału wzięli udział: Przewodniczący WRN Julian Maiewski, Sekretarz KWZPZR Michał i Frank, wiceprezes Zarządu Głównego ZLP St. Rydzard Dobrowolski, sekretarz Prezydium Zarządu Głównego, Jan Giesges, oraz koledzy z innych Oddziałów i zaproszeni goście.

Przesiem uowopowstałego Oddziału został wybrany Michał Lengowski, jego zastępcą W. Gęblik, sekretarzem Jarusz Dymowski i skarbnikiem Teofil Ruczyński.

Zorganizowane z okazji powołania Oddziału ZLP „Literackie Dni Olsztyńska” cechowały spotkaniem z ludnością warmińsko-mazurską w powiatach: olsztyńskim, ostródzkim, lidzbarskim i mrągowskim. „Dni” zakończyły się dużym spotkaniem z ludnością Olsztyńska, w którym obok członków Zarządu Głównego i Oddziału Olsztyńskiego Poznańskiego, wzięli udział serdecznie przez ludność witani, przybyli na Festiwal sekretarz Związku Pisarzy Syryjskich Schaouki Bagdad, autor zbioru wierszy wydanych pt. „Wielki nie jedno serec”, oraz antologii poezji arabskiej.

Władysław Gęblik

Koło tłumaczy z języka węgierskiego

W końcu czerwca br. odbyło się w Węgierskiej Instytucji Kultury w Warszawie zebranie tłumaczy węgierskiej literatury pięknej, członków ZLP. Po dyskusji na tematy warsztatowe, zebrani postanowili utworzyć koło tłumaczy z języka węgierskiego, którego celem będzie wzajemna wymiana doświadczeń, omawianie problemów przekładów, popularyzacja literatury węgierskiej w Polsce.

W dyskusji wzięli udział: Camilla Mondard, Janusz Moszczeniński, R. F. Porębski, Ella Sperlingowa, prof. dr Jan Reych-

man — kierownik Zakładu Filologii Węgierskiej na U. W. oraz ze strony węgierskiej: József Hegedűs — attaché kulturalny ambasady, dr István Csapláros, dyrektor Instytutu Węgierskiego, znana poetka — Eva Sebok — tłumaczka „Pana Tadeusza” oraz Ferenc Pakozdy, poeta, redaktor działu literatury polskiej w wyd. Szépirodalmi Könyvtárá. Ferenc Pakozdy podzielił się z polskimi kolegami doświadczeniami z pracy podobnego koła tłumaczy, działającego już od dłuższego czasu na Węgrzech. (m)

KOESPONDENCIA • KOESPONDENCIA

„W Husowie pamiętają...”

Szanowny Redaktorze!

W numerze 28 (276) „Nowej Kultury” z dnia 10 lipca br. ukazał się artykuł Tadeusza Stanisza pt. „W Husowie pamiętają Jana Raka”. Artykuł ten jest niesciśny. Autor pisze, przejeżdżając obok Markowej: „Próbowałem tam jeszcze przed rokiem 1939 założyć spółdzielnię zdrowia”. Po tym zdaniu więcej do tej sprawy. Nie wracam.

Otoż zdania zgodne z prawdą historyczną stwierdzić — wbrew informacji Stanisza — że spółdzielnia zdrowia w Markowej została założona i rozwijała działalność Mianowicie powstała w roku 1932 z 25 członkami-udziałowcami. Głównym inicjatorem tego ośrodka był Jan Franciszek Polty, wybitnym współzawodniczącym Mieczysława Flejszara (zamordowanego w R. 1945 przez bandę NSZ), Piotra Świelickiego (obecnego dyrektora Technikum Rachunkowości Rolnej w Wysokiej Kolo Łańcuta i posła na Sejm PRL), a także Franciszka Polty — radykalnych działaczy chłopskich Okres rozwoju spółdzielni zdrowia przypada na lata 1934—1935. Wówczas to dysponowano już względnie dobrym lokalem, skromnym wyposażeniem i znaczną liczbą członków (sięgającą 500), będącą podstawą egzystencji i rozwoju tej placówki.

Członkiem spółdzielni mógł zostać każdy, kto podał deklarację i wpłacił udział. Władzami spółdzielni były: zarząd, komisja rewizyjna i zebrania ogólne członków.

Początkowo były znaczne trudności z pozyskaniem lekarza dla spółdzielni. Kierownictwo się bowiem bało, że jeżeli spółdzielnia ma być chłopską, więc personel usługowy musi się wywodzić ze wsi. Z kolei proponowano kilku lekarzom pochodzenia chłopskiego objęcie kierownictwa spółdzielni. Ci jednak odmówili, stwierdzając, że nie chcą siedzieć po kilkadziesiąt godzin nad książkami, żeby teraz wracać do wsi. To fałszywe z gruntu założenie utrudniało otwarcie ośrodka. Dawało to okazję wrogim endeckim elementom do szczytu przeciw ruchowi emancypacji chłopskiej. Dopiero zawiązanie się młodzieży lekarzy, doktora Ciekota, pozwoliło najpierw na otwarcie, a następnie na wspaniały rozwój spółdzielni. Praca zaraz ruszyła z miejsca. Oprócz normalnej pracy w ośrodku, dr. Ciekot or-

ganizował i prowadził kursy pielęgniarstwa i sanitarne dla dziewcząt z okolicznych wiosek.

Nie trzeba dodawać, jakie znaczenie dla ludności ludowej miało posiadanie własnej chłopskiej spółdzielni zdrowia. Oczywiście nie brak było ataków kierunku ambon kościelnych przeciw „komunistycznym poczynaniom” radykalnych gacian i markowian. Rzeczywistość była jednak silniejsza od krakacko-kielczyńskich plugawstw, ponieważ miała za sobą prostych ludzi znojni, czarnej pracy.

Na zakończenie chciałbym dodać, że spółdzielnia zdrowia w Markowej była prowadzona przez niestudowanego dra Ciekota do r. 1939. Cieszył się on obrzydliwym szacunkiem wśród miejscowego społeczeństwa, nie tylko jako dobry fachowiec (był równocześnie lekarzem i dentystą), ale także jako doskonały organizator. Jeszcze dzisiaj pamięć o spółdzielni jest b. żywa. Wystarczy pierwszego napotkanego chłopca na jancuńsko-przeworskim trakcie! spytać co wie o Gaci i Markowej, a zaraz zacznie mówić o Uniwersytecie Ludowym i Spółdzielni zdrowia.

Roman Ruczek

Pańsk

Pamięci Antoniny Sokolicz

Z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Sztuki powołany został Komitet Organizacyjny dla uczczenia pamięci Antoniny Sokolicz, rewolucyjnej pisarki i działaczki kulturalnej w okresie międzywojennym. Komitet przygotowuje wydanie wyboru pism i broszury propagandowej, poświęconej życiu i działalności Antoniny Sokolicz. Przewiduje się urządzenie uroczystości Akademii z okazji 75-rocznicy urodzin Antoniny Sokolicz. Komitet wyłoni Prezydium w składzie: Edward Grabowski, Ignacy Podgórski i Michał Szulkin.

Komitet zwraca się z prośbą do osób znających bądź posiadających materiały związane z życiem i działalnością Antoniny Sokolicz o porozumienie się listownie z Departamentem Imprez Artystycznych i Obchodów Ministerstwa Kultury i Sztuki.

DENUNCJACJA

(Dokończenie ze str. 5)

nie. Bogaty synalek kazał sobie opowiadać o lotnisku. I Wasyl opowiadał. I opowiadał dużo. Ale kiedy syn powiedział, że na drugi raz niech lepiej uważa, bo on, Wasylów syn, potrzebuje dokładniejszych wieści, Wasyla jakby ktoś przewiercił na wyłot rozpalonym żelazem. „Ty szpion! — wołał. — Nie, bratku, na tej kobyle ty ze mną. Nie pojędziesz”. Szczęście, że pili u siebie w chałupie. Żeby to było w knajpie, całej tej historii nie miałbym po co opowiadać, wsadziliby chłopaka jak nic. Tak paskudnie wrzeszczał i kłął Wasyl, wydzierając z głowy kudłatę włosy. Ciskał się po izbie, zbierał wszystkie pieniądze jakie tylko miał i rzucił synowi pod nogi. „Bodałbym cię nie szpion! — jęczał boleśliwie, obejmując głowę. A syn tymczasem, ten sobaczy syn, wykręcał się jak mógł...”

Nazajutrz rano Wasyl podniósł ciężki od picia łeb i nie bardzo wiedział, jak to tam było. I może by wszystko uciicho, gdyby nie to, że ktoś w tygodniu później zaczął go pytać: „Cóż to, Wasyl, twój syn na lotnisku uczył się?” — „A bo co?” tknęło niedobrym Wasyla pod żebrami. „Tak już wszystko o lotnisku chce wiedzieć...” Ciemna krew napłynęła Wasylowi do oczu. No pewno, bolało...

— Ajda, Kazia!

Wytoczyli się z lasu w błąd, świetlistą mgiełkę otwartęj przestrzeni. Z prawej strony adzień bardzo daleko wisiały nad łąkami chwiejące się światłka, z wysokich traw szła nieustanna gra świerszczy, Maksym obmawiał kieszanie.

— Nieprawdopodobna historia — mruczał podając mu ogień. Nachylił się nad mgną, wypuszczając mi w twarz kłęb dymu.

— Co?! Jak?! — pytał trochę za głośno.

— Mówię: ciekawe rzeczy opowiadać o lotnisku. I Wasyl opowiadał. I opowiadał dużo. Ale kiedy syn powiedział, że na drugi raz niech lepiej uważa, bo on, Wasylów syn, potrzebuje dokładniejszych wieści, Wasyla jakby ktoś przewiercił na wyłot rozpalonym żelazem. „Ty szpion! — wołał. — Nie, bratku, na tej kobyle ty ze mną. Nie pojędziesz”. Szczęście, że pili u siebie w chałupie. Żeby to było w knajpie, całej tej historii nie miałbym po co opowiadać, wsadziliby chłopaka jak nic. Tak paskudnie wrzeszczał i kłął Wasyl, wydzierając z głowy kudłatę włosy. Ciskał się po izbie, zbierał wszystkie pieniądze jakie tylko miał i rzucił synowi pod nogi. „Bodałbym cię nie szpion! — jęczał boleśliwie, obejmując głowę. A syn tymczasem, ten sobaczy syn, wykręcał się jak mógł...”

Nazajutrz rano Wasyl podniósł ciężki od picia łeb i nie bardzo wiedział, jak to tam było. I może by wszystko uciicho, gdyby nie to, że ktoś w tygodniu później zaczął go pytać: „Cóż to, Wasyl, twój syn na lotnisku uczył się?” — „A bo co?” tknęło niedobrym Wasyla pod żebrami. „Tak już wszystko o lotnisku chce wiedzieć...” Ciemna krew napłynęła Wasylowi do oczu. No pewno, bolało...

— Ajda, Kazia!

Wytoczyli się z lasu w błąd, świetlistą mgiełkę otwartęj przestrzeni. Z prawej strony adzień bardzo daleko wisiały nad łąkami chwiejące się światłka, z wysokich traw szła nieustanna gra świerszczy, Maksym obmawiał kieszanie.

— Nieprawdopodobna historia — mruczał podając mu ogień. Nachylił się nad mgną, wypuszczając mi w twarz kłęb dymu.

— Co?! Jak?! — pytał trochę za głośno.

Unowe książki

IWAN PANAJEW „WSPOMNIENIA LITERACKIE”, przełożyła z rosyjskiego Jadwiga Dmochowska. PIW 1955, cena zł 22,70.

„Wspomnienia literackie” — jedna z najciekawszych pozycji pamiętnikarskich w rosyjskiej literaturze — ukazują się jako tom Biblioteki Pamiętników Polskich i Obcych, redagowanej przez Wacława Zawadzkiego. Iwan Panajew rozpoczął swoją karierę literacką jako prozaik. Najtrwalszą jednak częścią jego spuścizny literackiej są „Wspomnienia o Biełińskim” i pamiętniki. Leon Gomulicki w postawie do tej książki charakteryzując atmosferę lat trzydziestych ubiegłego wieku, na które przypada debiut Panajewa, zwraca uwagę na ograniczenia światopoglądowe, które nie pozwoliły Panajewowi zrozumieć subtelności ideologicznych i politycznych swego pokolenia. Panajew, ukazując Biełińskiego w okresie jego walki wewnętrznej i sprężystości ideologicznych myśli się, kiedy twierdził, że nie miał wówczas zainteresowań społeczno-literackich. Myśli się również w ocenie Puszkina, którego uważał za zwolennika „czystej sztuki”. Poza tym jednak, chcąc oddać Panajewowi sprawiedliwość — należy podkreślić jego złąstugi w dziedzinie postępowego — literaturoznawstwa.

Pamiętniki Panajewa obfitują w zasadnicze i ważne szczegóły biograficzne dotyczące takich pisarzy, jak Lermontow, Biełiński, Gogol, Kolcow i inni. Panajew ukazuje plastycznie atmosferę „niżu” w społeczeństwie rosyjskim po śmierci Puszkina; ukazuje także sugestywnie sylwetkę Biełińskiego — człowieka. Czytelnik polski odnajdzie na kartach tej książki portrety ludzi zaprzyjaźnionych z Mickiewiczem, i tych których spotkał on

w salonach Petersburga i Moskwy. Ta część pamiętników — pisze Gomulicki, która odtwarza „wewnętrzne atmosfery rosyjskiego życia literackiego na przełomie lat 30-40, ukazująca rozległy obraz ówczesnego społeczeństwa stanowi szczególną wartość jego książki dla współczesnego badacza i czytelnika”.

ANTONI SYGIETYŃSKI „WY-SADZONY Z SIODŁA” Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955. Cena zł 9,00.

Antoni Sygietyński, znany jest w dziejach kultury polskiej głównie jako krytyk malarstwa w latach 1878 — 1883; Sygietyński był jednak również wnikliwym krytykiem literackim. Rezultatem jego czteroletniego pobytu w Paryżu były m. in. świetne studia o powieści francuskiej, które ukazywały się w „Ateneum”. Na twórczość literacką Sygietyńskiego składają się powieści: „Na skłach Calvados” (1884) i „Wysadzony z siodła” (1891) oraz kilkanaście nowel... Bohaterem wydanej przez W. L. powieści jest szlachcic Żalowski, który po upadku powstania 63 r. przebywa kilkanaście lat za granicą. Żalowski to typowy przedstawiciel swojej warstwy, przywiązany do klejnotów szlacheckiego, nie umiejący, nieprzygotowany do żadnej pracy. Wyjeżdżając z kraju na pół feudalny; po powrocie zostaje już w pełni rozwinięty kapitalizm. Żalowski nie rozumie i nie potrafi przystosować się do nowego warunków.

„W sposobie, w jaki Sygietyński rozwija ten konflikt, widać wyraźnie, że zainteresowania pisarza rozciągają się w dwoje kierunkach. Jedną linią, to linia obserwacji powolnego zniszczenia, upadku moralnego i fizycznego, dokonującego się w Żalowskim, w wyniku ścięrania się przeżytych cech feudalnego panka z bezwzględnością i siłą nowych praw rządzących społeczeństwem. Z drugiej strony podaje Sygietyński analizę i krytykę te nowe prawa, a przede wszystkim jedno z nich: prawo siły pieniędza” — pisze Tomasz Weiss w postawie do tej powieści, jednej z najciekawszych powieści ostatnich lat XIX w.

K. Nast.

KONKURS

na reportaż lub opowiadanie związane z II Międzynarodowymi Igrzyskami Sportowymi Młodzieży

Główny Komitet Kultury Fizycznej ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie, reportaż, nowelę lub utwór literacki prozą o innej dowolnej formie związany z II Międzynarodowymi Igrzyskami Sportowymi Młodzieży. Tematem utworu może być współzawodnictwo sportowe. Autorem najlepszych prac zostaną przyznane następujące nagrody i wyróżnienia: pierwsza nagroda — 3.000 zł, dwie drugie nagrody — 1.500 zł, trzy trzecie nagrody — 750 zł oraz liczne wyróżnienia w postaci sprzętu sportowego i książek.

Jury zastrzeżone sobie prawo nie przyznania poszczególnych nagród lub ich podziału. Utwory nagrodzone i wyróżnione będą ogłoszone drukiem w prasie sportowej, przy czym autorem będzie przysługiwało normalne honorarium autorskie. W przypadku zaakceptowania tekstu do druku autor zobowiązany jest do bezpłatnego dokonania poprawek, wskazanych przez jury lub redakcję. W skład jury wejdą przedstawiciele: Zw. Literatów Polskich, Stow. Dziennikarzy Polskich (Sekcja Sportowa), Min. Kultury i Sztuki i GKFP. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 października 1955 r.

Sprostowanie Zakładu Nagród Dźwiękowych

Zakład Nagród Dźwiękowych podaje do wiadomości, że autorem muzyki do utworu pt. „Walc Piaskarzy” nagranego na płyty gramofonowe, jest Jan Rózewicz.

Na etykietach płyt i w katalogu podano onykowo nazwisko kompozytora Wronski, za co Zakład Nagród Dźwiękowych przostaje publicznie omyłkę, przepraszając ob. J. Rózewicza, autora utworu pt. „Walc piaskarzy”

Wiedeńska dyskusja

(Dokończenie ze str. 6)

pienia są niegodne z duchem Karty PEN-Clubu, wobec którego pisarze związani są honorem i zobowiązani są słowem bronić zawartych w Karcie wolności.

Padają sformułowania spowite w zawiłą konstrukcję myśli tak zredagowanych, że „honor, wolność, wierność Karcie zdają się być najwyższą troską mówcy. Z rzadka tylko błyska prowokacyjne słowo przeciwstawiające pisarzy z krajów socjalizmu — ludziom wolnym, nazywające narzędziem tyranii pisarzy, którzy mogliby ewentualnie wejść do PEN-u.

„Ja osobiście wiem dokładnie, że dopóki jestem prezydentem PEN-Clubu, nie podejmę się nigzego, co by mogło zagrozić temu, co uważam za podstawowe zasady PEN-u. Do najważniejszych zasad należy, że pisarze, uchodzący za tyrani mają prawo żądać od nas ochrony i opieki, a pisarze, którzy są narzędziem tyranii nie mogą wymagać, by byli przez nas przyjęci”.

W dyskusjach słyszy się często różne rzeczy. Zwłaszcza, gdy mówca występuje bez przygotowania i popędnie w nadmierny ferwor. Ale na ciwarciu 27 Kongresu PEN-Clubu nie zachodził podobny przypadek; mowa była uprzednio napisana. Któż by jednak odgądił, że to dyktatorskie wystąpienie wymagające nie tylko wielkiej, zasadniczej dyskusji, ale wręcz odpowiedzi na szereg pytań, było równocześnie zwykłym aktem tchórzostwa. Tylko w pierwszej chwili wydaje się to paradoksalne. Jest jednak jak najmniejszej umotywowane psychologicznie.

Prezydent międzynarodowego PEN, mister Charles Morgan, użył swojego autorytetu jako tarczy, spozą której wypowiedział mowę, żeby później wykonać unijk. Rzucił wprawdzie rekawicę, nie zdobył się jednak na to, żeby na tematy polityczne postawione w swoim przemówieniu „debatować prawdziwie swobodnie”. Zrozumienie moje było bezgraniczne. Człowiek, wolny człowiek, przekonany o słuszności tego co mówi, jeżeli nie chce postawić wrażeń, że jest płytą gramofonową, powinien mieć odwagę i siłę podjęcia rozmowy, bronić swoich przekonań, albo dowodzenia, dlaczego sądzi, że inni nie mają racji.

Tymczasem jakże się potoczyły zdarzenia po przemówieniu prezydenta?

Nazajutrz, we wtorek, program obu posiedzeń, porannego i popołudniowego, był po brzegi wypełniony zgłoszonymi wcześniej przemówieniami na temat teatru. Kolega Michał Rusinek dowiedział się tuż przed przerwą obiadową, że jego referat o teatrze Polski Ludowej, przewidziany na dalsze dni, znalazł się w planie popołudniowym.

Na sesji porannej w śróde powtórzyła się podobna jak we wtorek sytuacja. Następnie rozpoczęły się posiedzenia egzekutywy PEN-u, których obrady są tajne. Ponieważ jednak już w kilka godzin później prasa wiedeńska знаła przebieg posiedzeń egzekutywy, tajemnica nie była jak widać dochowywana ściśle.

Napłynęły od kilku członków PEN-u do komitetu wykonawczego pismen wnioski o konieczności dyskusowania spraw postawionych przez Charles'a Morgana. Treść tych listów nie została podana do wiadomości ogółu członków. Wiemy, że dotyczyły też politycznych w mowie prezydenta. Charles Morgan nie czuł sobie jednak dalszego rozważania sprawy. W momencie kiedy Kazimierz Brandys poprosił o zapisanie jego nazwiska na liście mówców, (a zamierzał odczytać interpelację polskiej delegacji stwierdzającą niezgodność przemówienia inauguracyjnego z duchem Karty PEN-Clubu) Charles Morgan oznajmił, że udzieli Kazimierzowi Brandysowi głosu po swoim przemówieniu. Następnie zapytał — sięgając po środek najbardziej drastyczny, mający wszelkie cechy presji moralnej — czy komitet wykonawczy życzy sobie, żeby w związku z treścią listów złożył urząd prezydenta PEN-u. Sprawę przegłosowano. Większością — przy taktownym powstrzymaniu się od głosu wielu obecnych — pozostawiono Charles'a Morgana na dotychczasowym stanowisku.

Wówczas, utrzymawszy władzę w ręku, prezydent PEN-u postawił wniosek, mocą którego wyklucza się dalszą dyskusję na temat jego przemówienia. Zerwały się nagmienne protesty. Metody zastosowane w Wiedniu wywołały spontaniczne oburzenie wśród pisarzy o skrajnie różnych poglądach. Przeciwno wnioskowi prezydenta przemawiał między innymi jeder, z wiceprezydentów PEN-u Ignazio Silone, motywując konieczność dopuszczenia dyskusji.

Wniosek Morgana poddano pod głosowanie egzekutywy. Pisarze postępowi, będący tam w mniejszości, podnieśli ręce, gdy zapytano: „kto jest przeciwko wnioskowi”.

Problem teatru, który miał być sprawą naczelną 27 Kongresu PEN-u w Wiedniu, zszedł na dalszy plan. Ośrodkiem zainteresowania od pierwszego do ostatniego dnia była walka idei, walka światopoglądów. Przy tym — co warto podkreślić — nie tylko pisarze postępowi uznali za potrzebne skrytykować wystąpienie Morgana. Czynieili to również ci, których nikt nie może pościć o sprzyjanie komunistom.

Obrady zakończono w sobotę 18 czerwca. Podczas uroczystego posiedzenia w Auditorium Maximum Uniwersytetu Wiedeńskiego Jan Parandowski wygłosił odczyt o Mickiewiczu. Po wystąpieniach kilku jeszcze mówców zabrał głos Charles Morgan i oświadczył:

1) Poglądy zawarte w przemówieniu inauguracyjnym były jego prywatnymi poglądami i za takie należy je uważać.

2) Prezydent PEN-u pragnie podziękować swoim przyjaciołom i tym wszystkim, którzy mu zwrócili uwagę na niewłaściwość podobnego wystąpienia.

3) Tym, którzy się poculi urażeni, prezydent z tego miejsca jest gotów powiedzieć „przepraszam”.

Ta nowa bądź co bądź i nie znana mi dotąd forma parlamentowania, jaką zaprezentował w Wiedniu Charles Morgan, skłania do rozmyślań. Gdyby prezydent PEN-u był karnodzieją za my gromadką wiernych, którzy się zeszli dla wysłuchania niedzielnej ewangelii i nauki — sprawa byłaby prosta. Milczelibyśmy szanując obyczaj kościelny. Ale milczenia przymusowego nikt z nas nie uznaje. Czy Charles Morgan sądzi, że jego postępowanie mogło nam dać gwarancję, iż prezydent PEN-u jest rzeczywiście zwolennikiem debat opartych na zasadzie prawdziwie swobodnej wymiany myśli? Czy przy całej swojej inteligencji nie zdaje sobie sprawy, że propaganda na jakiej oparł swoje wywody i iż zapewne swoje głębokie przekonanie, że mówi prawdę jest propagandą bardzo niskiego gatunku? Że marka ochronna tej propagandy od wielu lat uległa przedawnieniu? Trzeba mieć odwagę stawiania kropek nad i, odwagę wypowiadania swoich przekonań do końca. Inaczej mógłby ktoś sądzić, że mówiąc o „pisarzach, którzy są narzędziem tyranii”, Morgan miał na myśli pisarzy, zwolenników ucisku kolonialnego... Zdawkowe „przepraszam” wypowiedziane z nakazu dobrego wychowania w dniu zamknięcia Kongresu nie jest wyjaśnią, nie nie załatwia. Tego typu „dobre wychowanie” ma bardzo złe tradycje. Nikt z pisarzy postępowych nie bał się rozmowy na tematy poruszone w inauguracyjnym przemówieniu prezydenta PEN-Clubu. Dlaczego więc tyle obaw okazał on sam? Obawy te są jednak spóźnione. Dyskusja zapoczątkowana w Wiedniu nie przestanie się już toczyć w ośrodkach PEN-u. Chociaż odmówiono jej miejsca podczas obrad spychając na rozmowy kuliuarowe, kawiarniane albo kończone czasem o późnej godzinie na skwerze przed Hoffburgiem — dyskusja ta porwała wszystkich. Pod jej wpływem Charles Morgan odwołał i przeproszał ostatniego dnia. Lecó ów manewr dyplomatyczny nie zagłuszy już wymiany myśli, która dotyczy zasadniczych spraw naszego czasu. Możliwe, że ci spośród moich kolegów, którzy po roku wezmą udział w obradach 28 PEN-Kongresu, będą mieli okazję stwierdzić, iż echa wiedeńskiej dyskusji odezwą się znowu.

Seweryna Szmaglewska

W sprawie nastroju...

Sztorczy kina. Przejeżdżając Placem Dzierżyńskiego czy Placem Konstytucji, muszą już dziś zwalniać biegu i prowadzić wóz systemem pijackim — „w ósemkę” — omijając roztańczone pary: „Warszawa uczy się bawić, aby godnie powitać młodzież całego świata”.

W cudzysłowie jest oczywiście hasło. Słowo w słowo wynotowane, wyjęte prosto z ust speakera co wieczornych spotkań tanecznych na Placu Konstytucji. „A wstyd! A nieładnie! Widzę, że jeszcze nie wszyscy się całują!” — woła sympatyczny pan przez megafon wieczór w wieczór. Jakaż ulga dla mieszkańców MDM, skoro z tego samego miejsca jeszcze przed kilku dniami brzmiała przez megafon milicyjne pouczenia dla przechodniów przekraczających jezdnię. A dziś? „Chcemy, żeby nie tylko koleżanki i koledzy tańczyli. Musi tańczyć całe społeczeństwo!” — grzmi groźnie megafon. Słyszac to, wzdrygamy się mimo woli: kto lubi tańczyć z **mu-su**? Ale jesteśmy pełni optymizmu, że w czasie Festiwalu wszystko „ja-

koś się ułoży”, bo z „zagranicznikiem” każda Warszawiarka pójdzie tańczyć spontanicznie, bez żadnego groźnego poganiania.

Co już skorzystała Warszawa przy sposobności Festiwalu, widać na każdym kroku. Stare domy, do niedawna odrapane i brudne, jaśnieją świeżym tynkiem. Wracając wieczorem z teatru, można spokojnie oddać się marzeniom i patrzeć w gwiazdy, bowiem stołeczna Rada Narodowa zabroniła prowadzenia ulicznych wykopków. Złuszczają tylko pomalowane białym wapnem ruiny na Marszałkowskiej. Czego jak czego — ale ruin nie powinniśmy się wsylidzić.

W renesansowym pałacyku w Falentach pod Warszawą znajduje się „obóz kondycyjny” (proszę wybaczyć sportowe skojarzenia) solistów-muzyków, którzy z ramienia Polski mają wziąć udział w festiwalowym konkursie. Z okien pałacu biegnie alejami parku między klombami róż piękna muzyka. Nie ma tu naszych

slaw (w rodzaju Harasiewiczza) uginających się już od dzieciństwa pod brzemieniem licznych nagród i medali. Z pianistów są: Wł. Obidowicz, Danuta Dworakowska, Halina Pabiakówna. Z wiolinistów: Kieszkowski, Suchecki, Herman i Górski („cudowne dziecko” w wieku lat 14!) Profesorowie (Wilkomirska, Szpinalski, Zurawlew) razem z uczniami oddychają w Falentach świeżym wiejskim powietrzem i marzą o sukcesach swych uczniów. Czy sukcesy będą? Nie śmiejmy o tym wątpić.

W koszarach wojskowych na Pradze ulokowano amatorskie zespoły śpiewu i tańca, które mają wziąć udział w Festiwalu. Dwadzieścia pięć, nieraz parusetosobowych zespołów ćwiczy tu w plenerze od rana do nocy; dla zespołów ciężka praca, dla patrzących — przedsmak festiwalowego nastroju.

Wszędzie na całym terenie koszar — młodzież ubrana w kostiumy taneczne, szorty, kąpielówki. Zgrabni chłopcy, ładne dziewczęta. Koło przyszników kolejka nagusów. Basen wypełniony tak szczelnie, że wody nie widać. Wszędzie wiska się nadawana przez radiowęzeł wesoła muzyka i — o dziwo — tutaj wcale nie razi jej wrodzona, wzmocniona przez głośniki hałaśliwość. Wielki plac ćwiczeń roi się od tancerzy wykonujących identycznie ruchy i gesty. Jest nawet trybuna, tyle tylko, że obecnie stoją na niej miast odbierających defiladę członków władz SFMD — instruktorzy choreografii. (Choreograficzną pieczę nad zespołem ma prof. Mierzejewska z zespołu CRZZ w Skolimowie). W próbach znajduje się właśnie gigantyczny „korowód polski”, który będzie odtajniony przez wszystkie zespoły łącznie na nowym stadionie w dniu otwarcia Festiwalu. Na korowód ten złożą się tańce: mazur, oberek, chodzony, oraz tańce kukieł: turonie, lajkoniki, niedźwiedzie, marzanny.

Patrzmy — fotoreporter i reporter „Nowej Kultury” — na ćwiczenia taneczne wykonywane przez prawie półtoratysięczny zespół, płaczemy się tu i tam między grupkami opalającej się w słońcu lub flirtującej w cieniu młodzieży, i udziela się nam odrobina tej wspaniałości, tak łatwej do odczucia a tak trudnej do niebanalnego wyrażenia: odrobina festiwalowego nastroju. Nastroju radości i optymizmu, młodości i przyjaźni, nastroju... Stop! Można by mnożyć w nieskończoność tego rodzaju przymiotniki — z niewielkim skutkiem.



Fot. K. Jarochoński

Dziś w programie: r a d o ś ć ż y c i a! — może tak da się streścić to co zobaczyliśmy, wyślanicy „Nowej Kultury”, na festiwalowych obozach przygotowawczych? Ech, do licha! Przecież te wszystkie słowa są sztuczne. Przecież nastroj festiwalowy nie da się zawrzeć ani w jednym zdaniu, ani w tysiącu zdań.

Festiwal — to wspaniała impreza wizualna. Jej nastrój będzie w kształcie i barwie, w rzeczach które „na wyrost” nie dadzą się opisać, w rzeczach które trzeba koniecznie zobaczyć. Dlatego, drodzy Czytelnicy, dajemy Wam dziś miast artykułu zespół zdjęć. One lepiej od najlepszego artykułu dadzą Wam poznać to, czym już parę tygodni przed Festiwalem zaczęła żyć Warszawa.

KOS



Fot. K. Jarochoński

Oświadczenie Cezare Zavattiniego

Cesare Zavattini (Międzynarodowa Nagroda Pokoju, 1955) wyjeżdżając na 2 miesiące do Meksyku, złożył na tamach „Unita” następującą deklarację:

„Bardzo żałuję, że nie będę mógł wziąć udziału w Festiwalu warszawskim, ale obowiązki związane z pracą zatrzymują mnie przez czas dłuższy w Meksyku i na Kubie. Z całego serca dziękuję za zaproszenie przysłane mi przez Międzynarodowy Komitet Festiwalowy i cieszę się szczególnie z inicjatywą podjętą przez uczniów eksperymentalnych ośrodków filmowych — zorganizowania w ramach Festiwalu Seminarium Studiów Filmowych, na którym ma być przedyskutowany temat: „Człowiek ulicy we współczesnym filmie”.

Wydaje mi się, że to Seminarium winno by rozważać, jakie cechy neorealizmu są wspólne dla wszystkich krajów. Bo nawet jeśli neorealizm narodził się we Włoszech, myślę że byłoby słusze zastanowić się jakie w każdym poszczególnym kraju były warunki powstawania filmu neorealistycznego i dojść do definicji neorealizmu, który stał się już ruchem nie znającym granic.

Następnie chciałbym zaproponować, by w toku prac Seminarium postawiono zagadnienie filmu taniego, pojętego nie tylko — co jest ważne — zwłaszcza dla nas i dla filmowców pracujących w warunkach podobnych do naszych — jako rozwiązanie narzucające się ze względu na specyficzne warunki polityczne i handlowe, ale jako naturalne ujęcie dla kinematografii w kierunku problemów społecznych. Film już sam przez się jest wielkim faktem kulturalnym i spo-

leczny. Film natomiast rozumiany jako przemysł staje się produktem sztucznym. Film tani, film społeczny, stanowi dziś najgłębszą potrzebę moralną tych wszystkich, którzy uczciwie pracują dla ekranu, bo ten typ filmu jest właściwą reakcją na koncepcję kinematografii przemysłowej, całkowitą zaprzeczeniem starego kina zbudowanego na systemie gwiazd, widowiskowości i wysyceniu kosztów, oznacza narodziny filmu stworzonego na użytek obywateli, niezależnego od przemysłowych monopolów, mającego rozszerzony zakres podejmowanej tematyki.

Myślę również, że byłoby rzeczą interesującą i pożyteczną wykorzystać tę okazję, by położyć fundamenty pod stworzenie „Biuletynu neorealizmu” mającego charakter międzynarodowy. Można by następnie zaprosić wszystkich młodych reżyserów, filmowców i dokumentalistów z różnych krajów świata, by na tamach tego „Biuletynu” rozwinięli szeroką dyskusję, wymianę idei i doświadczeń zapoczątkowaną w Warszawie.

Innymi słowy, „Biuletyn” mógłby się stać zapowiedzią filmu wyrosłego z międzynarodowej współpracy, realizowanego przez młodych twórców, na ten sam temat ukazany przez każdego z nich w profilu narodowym. Dziesiątki tematów nawiązywałyby się do takiego ujęcia, które ułatwiłoby jednocześnie zrozumienie się różnych ludów i kultur.

To są te najcenniejsze sugestie, które chciałbym poddać w związku z zorganizowaniem przez Festiwal Seminarium Studiów Filmowych. I jednego tylko żałuję: tego, że ja też nie mogę być w Warszawie”.

110 FILMÓW HITLEROWSKICH „rehabilitowano” ostatnio w Bonn i dopuszczono do wyświetlania na ekranach. Wiele z tych filmów Goebbels określał kiedyś formułami „pożyteczne dla Rzeszy” i „pełnowartościowe politycznie”. Jak podaje ADN przystąpiono już w Bonn do sporządzania kopii filmów takich jak „Przełom” (film gloryfikujący politykę Bismarcka) i filmu „Bitwa o Alkazar” nad którego opracowywaniem objął kiedyś protektorat Benito Mussolini. „Bitwa o Alkazar” jest tylko jednym z wielu filmów, wychwalanych „bohaterstwem” faszystowskie w Hiszpanii, a dopuszczonych obecnie przez cenzurę bolską do wyświetlania.

FILM ROBERTA BRESSONA, „Dziennik wiejskiego proboszcza”, wyświetlano po raz pierwszy w Nowym Jorku na początku 1954 roku w jednej z tych sal specjalnych, roztoczonych przy Fifth Avenue Cinema, gdzie zazwyczaj ogląda się produkcje poszczególnych krajów w ich narodowych językach. Przeróbki, jakim po tym „debiucie”, a przed wypuszczeniem na amerykański rynek „Dziennik” został poddany, wywołały gwałtowny protest Bressona i... niesłychane zdumienie tamtejszych dystrybutorów. Bo jak się okazuje, w tym filmie nie importowane do Stanów krótkie i długie metraje przerabia się tak, by znalazły uznanie amerykańskich widzów i były przez nich rozumiane. W tym celu usuwa się całe partie, „zbyt skomplikowanych” dialogów, subtelne „zawiłości” psychologiczne i „przesadzone” akcenty społeczne. Zdumieniu towarzyszyło oburzenie na niewdzięczność i zarozumiałość Europejczyków, których w grup-

ZA GRANICĄ

cie rzeczy „prymitywne” i „nieodpracowane” przerabia się dzięki gorliwym staraniom współpracowników dystrybutora na filmy entuzjastycznie przyjmowane przez amerykańską, a więc najbardziej wybitną publiczność świata. Zabiegowi temu — nóżce — mu oficjalną nazwę r e m o n t a ż u — poddano między innymi takie pozycje jak: „Złodzieje rowerów”, „Siedem grzechów głównych”, „Symfonia pastorałna”, „Rzym godziną 11”, „Raj Kapitana Hollanda”, „Czerwone i czarne” etc., przy czym twórcy ich dopiero przy okazji tej dyskusji dowiedzieli się o losie jakiegoś spotkał z oceanem płody ich pracy, entuzjazmu i talentu. (1)

SKANDAL JAKI WYBUCHŁ W WATYKANIE SKUTKIEM UKAZANIA SIĘ KSIĄŻKI „VREFITTA”, zająca coraz szersze kręgi. Watykański „Osservatore Romano” wystąpił z wiadomością, że sprawę przeciw rozpowszechnianiu książki skierowano do naczelnego prokuratora republiki. „Klucze świętego Piotra” — tak bowiem brzmi tytuł napisanej przez francuskiego pisarza powieści — to historia młodego kleryka przydzielonego do służby przy pewnym kardynale rzymskim. Zadaniem jakie postawił sobie autor (znany z dwóch głośnych tomów: „Les ambassadeurs” i „La fin des ambassadeurs”) — było opisanie stosunków panujących w Watykanie. Jego bezpośrednimi informatorami stali się wybitni dostojnicy kościelni. Artykuł jaki się ukazał w katolickoprawicowym, doskonale poinformowanym (w tych sprawach rzymskim dzienniku „Corriere della sera”, nadmieniam, że ...jeden z tych,

którzy dostarczali wiadomości pisarzowi, nie nie wiedział o osobie pana Peyrefitte, inny natomiast wyciągając na światło dzienne sprawy rywali, miał to nawiązanie przeświadczenie, że on sam pozostał w cieniu. Autor jednak nie oszczędził nikogo. Kanonik X na pytanie: — Jak pan mógł u dzielać informacji tak głośnemu pisarzowi jak autor „La fin des ambassadeurs” — odpowiedział: — Nigdy nie o nim nie słyszałem. Przedstawił mi go kanonik Y, do którego miałem zaufanie.

Watykan postanowił zniszczyć autora i książkę. Członkowie stowarzyszeń religijnych otrzymali polecenie dyskretnego lecz natychmiastowego wykupienia znajdujących się w księgarniach egzemplarzy i dostarczenia ich we wskazane ręce. „Osservatore Romano” natomiast skierował swój atak przeciwko francuskiemu wydawcy książki — firmie Flammarion, przeciwko „Gazette de Lausanne”, szwajcarskiemu piśmie, które ośmieliło się opublikować pochlebną recenzję, i przeciwko włoskiemu organowi prasy narodowo-monarchistycznej z tego samego powodu. (1)

PRZERÓBKA FILMOWA POWIEŚCI LAWRENCE „Kochanie Lady Chatterley”, dokonana w Paryżu przez Marca Allegretta i Josepha Kessela, wzbudziła powszechnie zainteresowanie, zwłaszcza ze względu na trudny problem wyboru tych scen i dialogów, które nawiązywały do ekstranacji. Nie mniej skomplikowanym zagadnieniem jest przetworzenie walorów literackich książki na efekty filmowe. (1)

DYREKCYJA ZAKŁADÓW GASTRONOMICZNYCH W

PRADZE otworzyła znowu słynną w historii literatury i kulinarnej restaurację „U KALICHA”, o której wspomina raz z razem Jarosław Haszpek w swoim „Szwelku”. Wnętrze, ozdobione ilustracjami wybitnych grafików do „Szwelka” jest urządzone w stylu lat, kiedy Haszpek był tam nieomal codziennym gościem. Jeden z bocznych pokoi poświęcono na małe muzeum pamiątek wielkiego pisarza.

ZRZUCENIE BOMBY ATOMOWEJ NA HIROSZIMĘ jest tematem wystawy malarskiej dwójga artystów japońskich. Iri Maruki i Toszike Akamatsu. Wystawa ta, otwarta niedawno w Londynie, dokąd przybyła z Danii, zawiera prace z okresu czterech lat, podczas których para artystów starała się opisać wielką tragedię środkami malarskimi. Iri Maruki i Toszike Akamatsu pracowali w najcięższych warunkach. Ich pierwsze paneau z cyklu Hiroszimy wystawione w Tokio w r. 1955 były początkowo przemiecane przez prasę z obawy przed Amerykanami. Niebawem jednak stało się słynne, i z chwilą, gdy cały cykl został ukończony, rozpoczęły się w Japonii gromadne pielgrzymki na wystawę obojga artystów. Jej otwiedziło ogółem w Japonii około półtora miliona ludzi. Następnie urządzono dziesiątę wystaw fotograficznych z paneaux Iri Maruki i Toszike Akamatsu w różnych miastach japońskich. Jak pisze Derek Kartun w „Il Contemporaneo”, wystawa obrazująca grozę śmierci 40 tysięcy mieszkańców Hiroszimy wywiera wstrząsające wrażenie. (2)

Fraszki

LEOPOLD LEWIN

Bardzo wątpię

Bardzo wątpię, o ile ja znam Apollina, By każdego poetę uznawał za syna.

Do pewnego powieściopisarza

Gdy cała treść w dystychu się mieści, Na diabła pisać powieści!

Inter arma...

Inter arma silet Musa — Boi się oberwać guza.

Choć nie ma...

Choć nie ma róży bez cierni, Jednak jesteśmy jej wierni.

Gość

Gdy gość nie wie, kiedy — dość, O, to niebezpieczny gość!

Pechowiec

Jeśli mu nawet kamień z serca spadnie, W odcisk uraz go szkaradnie.

O fraszce

Bywa, że fraszka mała Działa jak pocisk z działa.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 888-11, 824-11. — Red. naczelny 879-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 853-30. Wydaje RSW „Prasa”. Kolportaż PPK „Kuch”, Oddz. w Warszawie, ul. Sienna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumerata przysyłają wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej: miesięczne 4 60 zł, kwart. 13 80 zł, półrocze 27 60 zł, rocznie 55 20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przysyłają Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-11 5689, tel. 23-09. Rekop. niezamów. redakcja nie zwraca.